Nr. 40. Lwów, Niedziela dnia 2. Czerwca 1878 r. **Tom VII.**



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** złr. **60** cnt. półrocznie **8** złr. **80** cnt. kwartalnie **4** złr. **40** cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

Paulin Święcicki

i jego niewydane dramata.

(Dokończenie).

Po Trójce napisał jeszcze wiele innych powiastek i obrazków: *Wycieczka do Rionin, Krzyż mogilny, Opowieści stepowe* i inne. Opowieści przypominają manierę Czajkowskiego, pisane są tą prozą, co zdaje się naśladować rytm kopyt końskich, galopujących w stepie. To też pod względem oryginalności i naturalności opowiadania stoją niżej od Trójki, którą można uważać za najlepszą powieść Święcickiego. Opowieści zanim wyszły osobno, drukowane były po większej części w literackiem piśmie „Nowiny," które Paulin Święcicki wydawał przez dwa lata, od 1868 do 1870 r.

Wydawnictwo to nie powiodło się. Wszelkie usiłowania Święcickiego, aby wyłącznie oddając się literaturze, wydobyć z niej zarobek, wystarczający choćby na najskromniejsze utrzymanie, wszystkie tego rodzaju usiłowania okazały się płonne, i trzeba było chwycić się innego zajęcia. Tym nowym zawodem, obranym przez Święcickiego, był zawód nauczycielski. Podał prośbę do Rady szkolnej o miejsce suplenta (zastępcy nauczyciela) w szkołach średnich, a Rada szkolna przez wzgląd na jego wyborną znajomość języka ruskiego, natychmiast go zrobiła suplentem w ruskiem gimnazyum we Lwowie.

Otrzymana posada dała mu wiele zajęcia, a bardzo mało dochodu, ale był to przynajmniej dochód stały i była nadzieja zostania wkrótce rzeczywistym nauczycielem, a zatem i otrzymania dwa razy większej pensyi. Nowy zawód oderwał Paulina Święcickiego od belletrystyki, a zwrócił ku studyom naukowym, a mianowicie ku badaniom lingwistycznym i filologicznym. Owocem tego kierunku były „Uwagi nad tłumaczeniem Nestora," dokonanem przez A. Bielowskiego, „Odmiana zaimków" i „Mowa ludzka." Dwie ostatnie prace odznaczały się oryginalnością pomysłów, ale pomysły te nie były oparte na ściśle naukowych podstawach i dla tego nie mogły w uczonym świecie zjednać sobie uznania.

W r. 1873 ożenił się Święcicki z wdową po urzędniku magistratualnym Mrazku, osobą młodą i jak sam ubogą. Małżeństwo to uśmiechało się do niego, jak port, do którego po długiem życiu sierocem miał zawinąć. Ubóstwo ozłocone miłością nie straszyło go, walka z niem, którą przez całe życie toczył, nie miała dlań w sobie nic groźnego, tem bardziej, że była nadzieja bliskiego polepszenia losu. Czuł przytem Paulin, że siły jego fantazyi nie wyczerpały się i zdolne były tworzyć rzeczy lepsze od wszystkiego, co przedtem wydawał. Marzył więc o „miernem" (jak sam pisał przed ślubem w pewnym liście do żony), cichem, domowem szczęściu... Ale i tu fatalizm zjawił się u wejścia do nowej fazy życia i brutalną ręką porwał wszystkie marzenia. W kilka godzin po ślubie, Święcick', zmęczony urządzaniem domowego gniazdka, dostał silnego krwiotoku. Był to złowrogi zwiastun następnych wybuchów, co go w końcu pokonały i położyły w mogile.

Długo się jednak jeszcze nie poddawał. Żeby z posady suplenta przejść na posadę nauczyciela szkół średnich, potrzeba było złożyć odpowiedni egzamin. Pomimo zagrożonego zdrowia, zabrał się Święcicki do tej ciężkiej pracy z wytrwałością, w której rzadko kto mu wyrównywał i dopiął swego, złożył egzamin, ale był już tak osłabiony, że musiał niebawem wziąć urlop na dłuższy czas. Wtedy to fantazya jego najświetniej zabłysnęła. Rzucił się na pole dramatyczne i w ostatnich dwóch latach przed śmiercią napisał trzy dramata historyczne, z których dwa, posłane na konkursa: krakowski i warszawski, wielki rozgłos autorowi zjednały. Były to: *Posadnica Marta* i *Świętosław Igorewicz.* Ale i tu go los prześladował; przyznano dramatom wielkie zalety, ale nagrody autorowi nie dano, pomimo, iż niewątpliwie zasłużył był na nią. Był to ostatni cios, jaki spotkał Święcickiego; w parę miesięcy potem umarł, 12go września 1876.

Trzy dramata historyczne*), o których wspomniałem, (trzeci ma tytuł: „Książe Igor"), osnute są na tle dawniejszej historyi Rusi. I w nich, przynajmniej w dwóch ostatnich, odzywa się ukrainizm, przeniesiony tym razem na pole dramatyczne, i zasunięty w zmierzch dziejowy. Nie są to zapewne utwory bez błędów w budowie, w niektórych ustępach naśladownictwo Szekspira zbyt jaskrawo występuje, w dosadności wyrażeń i porównań przekracza czasem poeta granicę smaku, mimo to wszystko jednak zajmą dramata Święcickiego niepośledniе miejsce w ubogiej dramatycznej literaturze polskiej. Wieje z nich powaga tragiczna, ukrainizm nadaje im oryginalny koloryt, wreszcie pojedyncze ustępy odznaczają się prześlicznem wykończeniem. *Posadnicę Martę* drukował „Przegląd Polski" w roku 1876, ale ani *Świętosław Igorewicz,* ani *Książe Igor* nie doczekał się dotychczas nakładcy, dla tego chcę podać o nich bliższą wiadomość.

Świętosław Igorewicz jest dzielnym, rycerskim księciem, żądnym sławy i bojów, to jest takim, jakim go tradycya i historya przekazały; prócz tego obdarza go autor tem, co świeci zawsze jako najcenniejszy klejnot w koronie panującego: głębokiem uczuciem sprawiedliwości. Widzimy go właśnie na początku sztuki wymierzającego sprawiedliwość pewnej wdowie, której córkę chciał zhańbić któryś z książęcej drużyny i stał się przyczyną jej samobójstwa. Wspaniałą tę scenę kończy wyrok księcia, skazujący winnego Trelafa na śmierć, pomimo, iż winny jest „pierwszą ozdobą drużyny książęcej," jednym z najlepszych przyjaciół i najdzielniejszych wojowników Świętosława. Wydając wyrok książę uroczyście oświadcza:

> Jeśli podobnej zbrodni się dopuszczę,
> Jaką on spełnił — niech zhańbione życie
> Ostatni z moich weźmie mi poddanych

Świętosław nie może usiedzieć w Kijowie. Pieczyngi ofiarowują mu pokój, ale on chce woj-

*) Oprócz dramatów historycznych została jeszcze w papierach ś. p. Święcickiego komedya mniejszej wartości p. t.: „Milion na giełdzie."

ny, rusza na Pieczyngów, zwycięża, a potem jak piorun spada na Bułgaryą, która mu się po krótkiej walce poddaje. Ale i tryumf ma swoją truciznę, roskosze i bogactwa stolicy bułgarskiej, sąsiadującej z Byzancyum, rozhartowują rycerską duszę Świętosława. „Otruto kniazia, powiada jeden z drużyny jego, otruto;

Lecz nie czarami ani też trucizną,
Sstruto go życiem miękkiem i rozwiązłem,
Gładkiemi słowy dworaków, pochlebstwy...

Książę ugania tylko za rozrywkami i kobietami, staje się przedmiotem plotek i pośmiewiska. Bułgarzy, czując słabnącą siłę zdobywcy, podnoszą rokosz, ale Świętosław, który się do lwa porównywa,

„Lew śpi, lecz jedno oko ma otwarte."

poskramia ich samem zjawieniem się swojem. Atoli tego lwa, dla którego nie ma strasznych wrogów zewnętrznych, pokonywa chuć lubieżna. Każe on porwać żołdakom swoim pewną cnotliwą dziewicę bułgarską i dopuszcza się na niej zbrodni, za którą ongi na śmierć skazał Trelafa. Obraz uczty, na której zhańbiona dziewica wypija truciznę z puhara, jest pełnym tragicznej grozy. Szybko teraz jeden po drugim stają przed księciem zwiastuni kary niebios: z Kijowa nadchodzą wieści o śmierci matki i napadzie Pieczyngów, z Bułgaryi o wystąpieniu siły greckiej przeciw księciu Rusów i o dezercyi bułgarskiego wojska. Lew zrywa się i rusza na wrogów, ale lwia siła już słabnie: Grekom musi odstąpić Bułgaryi, a sam w drodze do Kijowa ginie w walce z Pieczyngami.

W „Księciu Igorze" główną osobą jest nie tyle sam Igor, nie tyle opiekun młodego Rurykowicza „wieszczy Oleg," ile żona Igora, Olga, z której poeta utworzył wspaniałą postać kobiety dla berła stworzonej. Dramat, który jest tylko jakby prologiem do dalszych dziejów tej księżnej, ma za treść poznanie się i małżeństwo Igora z Olgą. Pod Kijowem, u przewozu przez Dniepr, spotkał Igor silną i kształtną dziewczynę w łodzi, którą sama kierowała i zakochał się w tej wodnej amazonce. Dziewczyną tą była Olga, wychowanka starej Mileny, a narzeczona jej syna Sławoja. Igor pragnie ją poślubić, a mądry Oleg nie tylko nie stawia przeszkód temu małżeństwu, ale i owszem sam pragnie tego, naprzód, że tym sposobem normandzki żywioł tem lepiej się zespoli z miejscowym słowiańskim, powtóre, że chwiejny Igor potrzebuje właśnie tak dzielnej dla siebie podpory, jaką znajdzie w Oldze. Ale swatom książęcym stanowczo się opiera Milena, zastępująca matkę Oldze, i jej syn Sławój, któremu Olga przysięgała, iż wiecznie go kochać będzie. Nic jednak, żadne zaklęcia i wyrzuty nie zdołają powstrzymać Olgi od przyjęcia swatów: odpycha matkę i kochanka i spieszy z weselnym orszakiem do książęcych teremów. Jednocześnie za Dnieprem pojawia się Buj-Tur, olbrzym, trapiący rozbojami okolicę, i wyzywa zuchów kijowskich do pojedynkowego boju. Oleg ogłasza, iż ktoby przywiózł głowę Buj-Tura, w nagrodę otrzyma zbroję od niego, a złoty łańcuch z rąk Olgi w dzień jej ślubu. Sławój, któremu życie bez Olgi niemiłe, potyka się z olbrzymem, zwycięża go i otrzymuje przepisaną nagrodę z rąk niewiernej kochanki w chwili pochodu ślubnego, ale tamże na miejscu u jej nóg pada i umiera.

W *Księciu Igorze* koloryt jest jeszcze bardziej rodzimy, ukraiński, jak w *Świętosławie*. Naśladownictwo Szekspira przebija się głównie w postaci Wazy, waregskiego Falstafa, który jest przyjacielem Igora. Rzecz także godna uwagi, że Święcicki, pomimo swego słowianofilstwa, bezstronnie ocenił znaczenie drużyny normandzkiej dla Polan naddnieprskich i nie starał się wywyższyć Słowian kosztem Waregów.

Na zakończenie przytoczę mały ustęp z *Księcia Igora,* jeden z ustępów, które mi się wydają piękniejszymi od innych. Jest to rozmowa starej Mileny z Olgą, w której poeta daje bardzo poetyczną charakterystykę przyszłej żony Igora. Milena pyta wychowanki, dla czego jest smutną. Olga jej odpowiada:

Nie smutnam, matko; tylko mi tak jakoś...
Ot, jak zazwyczaj, wierzajcie; nic nadto,

Milena. Oj, oj wiewiórko! nie zdurzysz ty starej.
Smutno ci, wiem ja od czego, pieszczoto.
Alboż nie byłam, jako ty dziś, młodą,
Albożem twoich nie zaznała smutków?

Olga. Czy wszyscy ludzie jednakowi, matko?

Milena. Nie, rybko. Ludzie na świecie niejedni,
Człowiek drugiemu bywa niepodobny,
Jak trawka trawce, choć zda się być jedną,
Ale dziewuchy, w twoich latach, Olu,
Tem są podobne do siebie, że myślą
I czują wszystkie jednako; ztąd łatwo
Zgadnąć powody ich troski serdecznej.

Olga. A oczem myślą i co czują dziewki
W mych latach, matko?

Milena. I niby też nie wie!...
Myślą, koteczko, o swem miłowaniu,
Czują miłosny żar w piersi i znoszą
Srogą tęsknicę za lubym. Tak, rybko.

Olga. Wszystkie tak, matko?

Milena. A wszystkie, dziewico.

Olga. Tom ja się z dziewuch cale wyrodziła,
Miłować dla mnie nie jest szczęściem, matko,
I gdy tęsknicę znam, to nie za miłym.

Milena. Toćby się Sławój zasmucił, nieboże,
Gdyby cię słyszał, Olu, tak mówiącą.
On cię z wszystkiego umiłował serca,
Duszyby swojej dla cię nie poskąpił...
A i ty, kotku, nie rzekłażeś w onczas:
„Twoją zostanę po wieki, Sławoju."

Olga. Rzekłam to, matko.

Milena. I powtórzysz jeszcze?

Olga. Powtórzę chętnie, że mi Sławój miły;
Ale nie za nim tęskno mi, matulu,
I nie w tem widzę ja szczęście, że razem
Wiek nasz przeżyjem w szczęściu i spokoju.

Milena. O niech cię strzegą od grzechu bogowie!
A o czemże ty myślisz, biedne dziecię?
I za czem tęsknisz, jeśli nie za szczęściem?

Olga. Nie wiem ja, nie wiem, za czem dusza rwie się,
Ku czemu serce wyrywa się w loty,
I z czem me myśli płyną rozognione.
Albom za młoda, albo nierozumna,
Że nie wiem, czemu spokój mi nie starczy,
A ciche szczęście nie wabi ku sobie..
Jabym tak chciała... głowa nierozumna!
Na orlich skrzydłach wzlecieć po nad chmury,
Z wichry i burzą przenieść się po stepie,
Z gromami wpadać w skalne rozpadliny...
Wrzawy bym chciała wojennej...

Milena (w przerażeniu) Dziewczyno!

Olga. Gdy się nasz stary Dniepr rozdąsa, matko,
Wełny ze siebie wydyma, jak góry,
Ryczy i pianę ciska ku niebiosom,
Tysiącem mokrych grobów najeżony —
Nie wytrwam.. Gnana jakąś dziwną siłą,
O świecie całym niepamiętna, spycham
Mą łódź do wody, i w najsroższe głębie,
Najbliżej gniewu starego Sławuty,
Pędzę ją wszystką siłą moich ramion.
Pochwycę tonie moją łódź, zakipią
Wełny, uskoczą i silnym rozpędem
Uderzą w moją pławicę... O matko!
Nie jedna, tysiąc obegna mię śmierci,
I wszystkie tysiąc uchodzą ze wstydem,
Nic nie sprawiwszy ani mnie, ni łodzi.
Zwycięzka, wracam z tej walki — szczęśliwa,
Taka swobodna, taka lekka, matko,
Jakby mi skrzydła u ramion urosły,
Jakbym nie była twą Olgą... O, powiedz:
Co to jest matko? co to znaczyć może?

Może wiadomość, którą podałem o „Świętosławie" i „Księciu Igorze" i przytoczony ustęp, którego piękność jest nadto wymowną, aby potrzeba ją było wykazywać, skłonią kogoś do wydania tych pośmiertnych utworów Święcickiego. Jak dogasająca lampa przed samem zgaśnięciem jaśniej i szerzej rozbłyska, tak i talent Święcickiego w tych ostatnich utworach, przed samą śmiercią pisanych, zajaśniał pełniejszym, uroczystszym blaskiem, protestując niejako przeciw śmierci, co go tak wcześnie zabierała i nie pozwoliła mu rozwinąć skrzydeł, które właśnie dojrzewały do wysokiego lotu.

Józef Tretiak.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Kilka dni upłynęło zanim stary Leszczyc zdołał namówić syna do zrobienia wizyty aptekarzowi. Szedł on tam bardzo niechętnie, bo jakkolwiek ojciec wiele mu nagadał o rozumie jego, to jednak nauczony smutnem doświadczeniem u burmistrza, spodziewał się zobaczyć prowincyonalnego mędrka, figurę nadętą, pozującą na coś znacznie większego, niż był w istocie. Przygotował się na obserwowanie śmieszności w innym znowu rodzaju.

Zewnętrzność aptekarza jeszcze więcej utrwaliła go w tem mniemaniu. Zastali go stojącego za kasą w niebieskiej bluzie z zakasanemi rękawami, w czerwonym fezie, a że do tego miał rudą brodę i niebieskie okulary, więc w tej mięszaninie papuzich kolorów wyglądał jak pajac cyrkowy. Jan nie mógł wątpić, że ma przed sobą człowieka, który nawet kosztem śmieszności usiłował być oryginalnym i zwracać uwagę na siebie. Zdziwiło go tylko spojrzenie, jakie aptekarz z po za zielonych okularów rzucił na niego w chwili, gdy ojciec go przedstawiał. Było to spojrzenie rozumne i badawcze, nie licujące wcale z dziwacznem ubraniem. Poprosił ich siedzieć i rzekł:

— Panowie się nie pogniewacie, że ich tymczasem tu przyjmuję; ale muszę pierwej załatwić się z tą babraniną. Tu pokazał im porcelanową miseczkę, w której jakąś maść rozcierał. Subjekt mój wyjechał wczoraj do Krynicy urządzać aptekę na sezon kąpielowy,

chłopiec poszedł na pocztę i zostałem sam, a tu panna Zenobia szturmuje gwałtownie o to lekarstwo...

— Czy panna Zenobia już wróciła? — spytał stary Leszczyc.

— Właśnie wczoraj wieczór.

— I chora?

— Gdzieby jej co było — trzyma się, jak zasuszona pokrzywa; ale biedny Azorek, który wraz z nią jeździł do Kobylanki na misyą OO. Jezuitów, strząsł się biedaczek, bo nie przyzwyczajony do dalszych podróży. Pan się śmiejesz? — spytał, zwracając się do Jana — dobrze, że panna Zenobia nie widzi tego, bo by panu nie darowała, że tak lekko traktujesz pan zdrowie jej Azorka. Pan nie słyszałeś jeszcze nic o pannie Zenobii i o jej Azorku? — Ojciec nie mówił panu o niej.

— Nic wcale.

— Prawda, bo to protektorka klasztoru, więc dla ojca pańskiego jest już tem samem świętością nietykalną.

— Któż to jest ta panna Zenobia? — spytał Jan.

— Stara panna, hrabianka, która tu osiadła na dewocyi i reprezentuje w naszem mieście żywioł ultramontański; — nabożniejsza niż sam ksiądz proboszcz i cały klasztor; nie żałuje pieniędzy i języka tam, gdzie idzie o propagandę religijną, prześladowanie heretyków. Jestem pewny, że chętnie ogłosiłaby przeciw mnie krucyatę, a moją biblioteczkę oddała na stos, gdyby nie to, że Azorek, jako słabowity z natury, potrzebuje często mojej pomocy. Za pomocą Azorka zyskałem sobie pewne względy u panny Zenobii, bo miłość do tego mopsa zajmuje zaraz po uczuciach religijnych najpierwsze miejsce w jej sercu. Dostała go od jakiegoś prałata rzymskiego wielce świętobliwego i chowa jak świętości, jak relikwie po nim. Dla miłości tego psa zapisała się nawet do towarzystwa ochrony zwierząt, choć wietrzy w niem farmazońskie prądy. Teraz pan nie będziesz się dziwił, dla czego z taką skwapliwością robię to lekarstwo. Muszę się spieszyć, bo panny Zenobii co tylko nie widać; poszła na chwilę do kościoła zmówić kilkadziesiąt pacierzy, tylko nie wiem, czy za mnie, czy za Azorka.

— A już też to pan nie żałujesz czernidła na osmarowanie poczciwej panny Zenobii — odezwał się stary Leszczyc z uśmiechem — mój Jaś gotów uwierzyć, że to potwór jaki. Z tem wszystkiem, to kobieta bardzo dobroczynna, wiele robi dla biednych.

— Pomimo to wolałbyś pan być u niej Azorkiem, niż biednym — a co? Prawda, że ma także swoje dobre strony; ale cóż z tego, kiedy tą swoją bigoteryą naszym gąskom miejskim do reszty w głowach poprzewracała. Gdyby to jaka babka kościelna, jaka wreszcie piekarka, zabrała się tak do propagandy religijnej, jestem pewny, że nasze panie zaczęły by krzywić nosami i gotowe by były na złość ateistkami zostać. Ale że to hrabina, kanoniczka, która jest zarazem jakąś damą honorową na dworze wiedeńskim, ma pieniądze i wpływy; więc wszyscy jak owce lecą za nią i beczą jak im każe. Wszystkie chodzą poobwieszane skaplerzami, koronkami, medalikami, urządzają jakieś procesye, kongregacye, bractwa — księgarz tutejszy od roku nie sprowadził żadnej innej książki, prócz do nabożeństwa — ale też tych całą bibliotekę. Nawet mężczyźni już zarazili się tym obłędem religijnym, aby się przypodobać hrabiance Zenobii, bo im chodzi o jej protekcyą. Burmistrz swoim tubalnym głosem kantoruje po procesyach, pocztmistrz co rano chodzi z ogromną księgą do kościoła w nadziei, że za pomocą pana Boga i panny Zenobii dobierze się do serca jakiej posażnej panny, a i kancelista zapisał się przed paru tygodniami do bractwa różańcowego, aby sobie tem pomódz do awansu. Widzicie więc panowie, że z łaski tej świętobliwej matrony niezadługo całe miasteczko nasze zachoruje na obłęd religijny, a co gorsza na obłudę religijną. Muszę kiedy podszepnąć babie, że jej Azorkowi nie służy tutejsze powietrze, że jemu dla zdrowia potrzeba koniecznie mieszkać w większem jakiem mieście, np. w Krakowie. Tam taka panna Zenobia toby była jak ryba w wodzie. A co to z niej byłby panie za doskonały reporter przy jakiej gazecie katolickiej, bo ta kobieta ma stosunki z całym światem. Nasza poczta większą połowę dochodu zawdzięcza jej korespondencyom. Z Rzymu, Paryża, z Monachium i Bóg wie zkąd nadchodzą do niej wiadomości o wszelkich sprawach kościelnych, a oprócz tego dostaje także spory transport świeckich nowinek. Jestem pewny, że choć dopiero wczoraj przyjechała, wie już o pańskiej bytności w naszem mieście.

Aptekarz rozgadał się po swojemu, wykładając jak z katedry życiorys panny Zenobii, a wśród tego nakładał maść do niebieskiego słoika, nakrył złotym papierem i okręcił kolorowym szpagatem. Robił to, jak mówił, przez wzgląd na wysokie stanowisko Azorka.

Jan nie bez pewnego interesu przysłuchiwał się temu zrzędzeniu aptekarza. Wśród nudów, jakich doznawał w tem mieście, złośliwy i uszczypliwy ten oryginał działał na niego jak tabaka. — Nie mógł dopatrzeć w nim owej uczoności, o jakiej mu ojciec z takim respektem mówił; ale podobał mu się jego szczypiący dowcip, bystry i spostrzegawczy umysł, który z taką zręcznością umiał chwytać śmieszności i trafnie je przedstawiać. Pannę Zenobię naprzykład przedstawił mu tak, że ją widział przed sobą, jakby w portrecie — i skoro jakaś dama czarno ubrana, z zawiędłą twarzą, małemi, przenikliwemi oczkami i ostro zakrojonemi wązkiemi ustami weszła do apteki z dużą księgą od nabożeństwa pod pachą — Jan od razu w przybyłej poznał co dopiero opisaną osobę.

— A cóż? Jest moje lekarstwo? — spytała się wchodząc — a i pan Leszczyc tutaj? — A to zapewne syn pański? — Pan przybywa z Wiednia? — Okropne miasto, gniazdo żydów i heretyków. Pan powinienbyś przebyć kwarantannę religijną, żeby się oczyścić z tej zarazy. Szkoda, żeś pan nie przyjechał kilka dni wcześniej, byłabym pana zabrała ze sobą na misyą do Kobylanki. — Czy pan zapisałeś się już do towarzystwa święcenia niedzieli? — Dam panu statuta — i sięgnęła ręką do torebeczki, wydobyła z niej plik papierów i dając z nich jeden Janowi odurzonemu tym obcesowym atakiem mówiła dalej: tu wpiszesz pan swoje imię i nazwisko. — A w sobotę da pan Bóg doczekać wpiszemy pana do różańca. Ojciec pański jest tam starszym. Powinieneś pan wstępować w jego ślady, a nie zapatrywać się wcale na takich heretyków, jak nasz aptekarz. — Tu spojrzała na aptekarza, z żartobliwym uśmiechem — ale my i tego nawrócimy. Nie taki on straszny jak się sam maluje. Mój Azorek ma dla niego wiele sympatyi, a to już coś znaczy, bo Azorek nienawidzi heretyków.

— Pani hrabina będzie łaskawa polecić mnie nadal względom szanownego Azorka — rzekł aptekarz, podając pannie Zenobii słoik.

— Czy pan już zapisał na rachunek?

— Już, pani.

— Jeżeli Azorkowi się polepszy po pańskiem lekarstwie, to przyjdziemy oboje panu podziękować — a ja na intencyą pańskiego nawrócenia zakupię wotywę. Do widzenia — do widzenia panie Leszczyc, proszę oświadczyć moje ukłony pańskiej matce, jutro będę u nich; a nie zapomnij pan przyprowadzić syna w sobotę do kaplicy różańcowej.

— No, jakże, czy przesadziłem? — spytał aptekarz Jana po wyjściu panny Zenobii.

— Ale rezolutna kobieta i z humorem.

— Tem niebezpieczniejsza na propagatorkę. No, a teraz służę panom. — Już mieli wychodzić, gdy do apteki weszła jakaś stara żydówka o cytrynowej twarzy, haczykowatym nosie i ponurem, niemiłem spojrzeniu.

— Czy znowu po morfinę? — spytał aptekarz.

— Czy ja wiem co tam napisane? — odmruknęła żydówka, podając zżółkłą, zatłuszczoną receptę.

— A któż tam u was tyle morfiny zawsze potrzebuje?

— Zdrowy by pewnie tego nie potrzebował, tylko chory.

— A któż to chory?

— Na co to panu wiedzieć? — ho, jedna dziewczyna co jest u mnie.

— Kaszle pewnie? — pytał dalej aptekarz, rozdzielając proszek na równe części.

— Co nie ma kaszleć?

Jana od pierwszej chwili uderzył zaraz niemiły, chrapliwy głos żydówki i niedługiego potrzebował czasu, aby sobie przypomnieć, gdzie go słyszał już dawniej. Było to w owym ogrodzie za klasztorem. Głos ten odwołał wtedy piękną żydóweczkę do domu. To też Jan z uwagą przypatrywał się starej, która spostrzegłszy to, zmięszała się nieco i zdawała się być niespokojną. Przyszło mu na myśl, czy przypadkiem nie owa żydóweczka jest chora i miał zamiar zapytać się o to, ale jakoś nie chciał wobec ojca i aptekarza przyznawać się do tej znajomości.

Tymczasem żydówka odeszła, chłopiec wrócił z poczty z gazetami i aptekarz, odebrawszy je od niego zaprowadził swoich gości przez długą, ciemną sionkę do swego mieszkania. Składało się ono z dwóch pokojów, a wyglądało jak muzeum taka mnogość i rozmaitość była w nich wszelakich przedmiotów. Na ścianach wisiały jakieś kapelusze dziwnego kształtu, dzidy nieforemne, kule, kołczany ze skóry, tarcze plecione z jakiegoś łyka, długie noże z rękojeściami z kości słoniowej bogato rzeźbione, odzież różnokolorowa, tkana z materyi nieznanych u nas.

Aptekarz widząc, że Jan z ciekawością zaczął oglądać te przedmioty, zbliżył się ku

niemu i tłómaczył po kolei zkąd pochodziły i jaki ich użytek.

— To strzały zatrute z wyspy Cejlon; — tam boumarang australski, którego mieszkańcy używają do zabijania ptaków, jest on tak urządzony, że rzucony wraca napowrót do miejsca z którego został rzucony. Tu pan masz naczynie do obrzędów religijnych w Zangwebarze. Tę skórę z kangura mam z południowej Ameryki. To czaszka, z której ludożercy afrykańscy piją krew ofiar.

— I w jakiż sposób przyszedłeś pan do tych ciekawych zbiorów? — spytał Jan.

— Są to pamiątki z mojej włóczęgi po świecie. Każdy przedmiot, który pan tutaj widzisz, przypomina mi jakąś ważniejszą chwilę z mego życia. To mój pamiętnik. Nieraz kiedy z fajką siędę sobie tu na tej sofie, łażę okiem po tych ścianach i myśli moje odbywają powtórną wędrówkę. Ale czemuż panowie nie siadają — pan zapewne palący i podał Janowi w marmurowej puszce tytoń. Ojca nie prosił, bo wiedział, że stary Leszczyc zadowalniał się swoją mięszaną tabaczką.

Jan usiadł i kręcąc papierosa rozglądał się ze zdziwieniem na około. Nie spodziewał się w mieszkaniu aptekarza w małem miasteczku znaleść taki zbiór okazały, który mógłby być ozdobą nie jednego muzeum. Nie długo dosiedział na miejscu, bo ciekawość ciągnęła go do drugiego pokoju, gdzie za szklanną szybą zobaczył różne obrazy zamorskich ptaków, potwornych owadów, więcej jeszcze zadziwiła go biblioteczka. Była ona zapełniona dziełami naukowemi, przeważnie tyczącemi się chemii, botaniki, i to były dzieła najnowsze. Już sam wybór ich świadczył, że właścicielowi ich nie obce są postępy nauk przyrodniczych i że nie pozostał w tyle z wiadomościami swemi. Zapytywał go umyślnie o niektóre dzieła, aptekarz wydawał o nich sąd trafny, ze spokojem i swobodą człowieka, który panuje nad przedmiotem. W mowie jego nie było nadętości ani chęci popisu; mówił o teoryi Darwina, lub dziejach przyrody Waechla z tą samą swobodą i łatwością, z jaką opisywał przedtem pannę Zenobię. Widząc, że Jana zajmuje bardzo tego rodzaju rozmowa, pokazywał mu z kolei ogromne i pracowite zbiory roślin z różnych krajów, wyjmował ciekawsze okazy i dawał szczegółowe objaśnienia o naturze roślin.

— Niektóre z nich — mówił — udało mi się zaaklimatyzować w moim ogródku i cieplarni, pokażę je panu potem. Szczególniej kilka gatunków storczyków utrzymuje się doskonale.

— A to co jest? — spytał Jan wskazując na oknie kilka kwiatów w wazonach nakrytych kolorowemi szklannemi dzwonami.

— To próba. Musiałeś pan zapewne czytać o wpływie kolorów na rozwój istot organicznych. Otóż chciałbym wypróbować o ile ta teorya jest prawdziwą. Dotąd najsilniej objawia się działanie koloru fioletowego; czekam na rezultaty innych kolorów, a wtedy dopiero będzie można wysnuć jakieś wnioski pewniejsze. Ot bawię się, jak mogę, i zabijam czas — dodał z wesołym uśmiechem. — Jeżeli pan lubisz tego rodzaju rozrywki, to zapraszam pana do siebie, będziemy się wspólnie bawili. Pan, jako chemik, będziesz mnie mógł coś nowego pokazać. Kuchnia moja chemiczna dość dobrze zaopatrzona. Będziemy smażyć, pitrasić, gotować, a może nam się uda jakie ważne odkrycie, jaki wynalazek, choćby niezawodny środek na porost włosów dla naszego pocztmistrza. Prawda, panie Leszczyc — zapytał zwracając się do starego Leszczyca, który towarzyszył mu w tej wędrówce po pokojach i słuchał ich rozmowy z uwagą, choć wiele z tego prawie nie rozumiał — prawda, panie Leszczyc, toby był wynalazek, któryby nas unieśmiertelnił.

— Ej, już to pan aptekarz zawsze figlarz, żartuje choćby z siebie samego.

— To najlepszy sposób, aby drudzy z nas nie drwili. Naprzykład pański syn miał może ochotę ubawić się kosztem aptekarza z małego miasteczka, ale cóż kiedy aptekarz go uprzedził. Prawda, co? — spytał uderzając poufale po ramieniu Jana — o czemże tak zamyśliłeś się, mój młody przyjacielu?

— Myślę nad tem, jak pan możesz marnieć tu w tej mieścinie i dla czego pan tu siedzisz?

— Ba! dlaczego? — wykrzyknął aptekarz odrzuciwszy w tył głowę, że aż fez zachwiał mu się na niej — głupia ambicya, nic więcej. Zachciało mi się być profesorem uniwersytetu, szczęście mi nie dopisało i dostałem się tu, jak złamane koło na strych. Mogłem zostać profesorkiem w jakiem gimnazyum, byłbym może użyteczniejszym światu, niż tu na partykularzu w roli aptekarza; ale ambicya nie pozwalała na to. Starosta albo kapucyn. Profesorek w gimnazyum wydawało mi się tak jakoś ubliżającem stanowiskiem, jak Napoleonowi pierwszemu, gdyby mu zamiast cesarstwa, ofiarowano miejsce hofrata w ministeryum austryackiem. Niewątpliwie wolałby nagie skały S-tej Heleny. Otóż i dla mnie to miasteczko stało się Heleną, z wysokości mojej apteki patrzę na świat i cieszy mnie, że jestem wielkim wśród mniejszych; a do tego jestem niezależnym. I to może najgłówniejszy powód, dla którego tu siedzę. Wierz mi, że im więcej rozmyślam nad tą niezależnością moją, tem więcej lubuję się w niej. Nie potrzebuję kryć się z mojemi przekonaniami, mówię co myślę, a taka wolność obstoi za wszelkie tytuły i godności. I tobie radzę, mój panie, jeżeli chcesz być prawdziwie szczęśliwym, a masz trochę szlachetnej ambicyi, która nie pozwala ci czołgać się, kłaniać, pochlebiać, nadskakiwać i służyć, to lepiej ograniczyć swoje potrzeby, ścieśnić krąg swych marzeń, byle nie zatracić wolności swojej. Zamiast wysługiwać się jakim możnym panom, kapitalistom, lepiej załóż z własnych funduszów mydlarnię i fabrykę świec; będziesz większym panem na tem małem stanowisku, niż gdybyś zarządzał największemi fabrykami komuś. Nie podoba ci się moja rada, prawda? Myślisz sobie, ot, plecie stary dziwak sam nie wie co. Wiem, wiem, jak to trudno zredukować swoje marzenia do minimum, kiedy żelazna konieczność nie zmusza do tego. Wiem z własnego doświadczenia, co mnie to kosztowało. Dziś się dziwię, że mogłem tak żałować tego, co nie warte było żalu. Ale doświadczenie obce nie uczy drugich. Każdy chce sam spróbować. Ha, idź, próbuj, może będziesz szczęśliwszy; albo też może masz inne usposobienie.

W ten sposób długo jeszcze gawędził aptekarz. Była to już jego słabość, że kiedy się dorwał słuchaczy, szczególniej takich, którzy go rozumieć mogli, chciał nagadać się za wszystkie czasy; radby był wyrzucić z siebie te myśli, co jak żółć wyrabiały się w jego umyśle.

Na Jana słowa jego zrobiły przykre wrażenie; były one dla jego duszy rodzajem kwasu, który sprawił fermentacyę i rozkład. Wracał do domu smutny, przygnieciony tem co widział i słyszał. Dla człowieka, wstępującego dopiero w życie z rozpiętemi żaglami nadziei i projektów, widok drugiego, którego przeciwności złamały i w ruinę zamieniły, musiał być nadzwyczaj demoralizujący; był to coś podobnego, jak gdy żołnierz, co idzie do boju z odwagą i chęcią sławy, po drodze spotyka w rowie trupa towarzysza swego. Jan po ukończeniu politechniki, jak każdy młody człowiek, patrzący jeszcze różowo na świat, zakreślił sobie myślą szerokie pole działania, a tu pokazano mu jako ostateczny cel życia — mydlarnię w małem miasteczku. Dreszcz go przeszedł na myśl, żeby mu przyszło tak zakończyć swoją karyerę. Aptekarz wydawał mu się jak puszczyk, który głosem swoim wróżył śmierć jego nadziejom. Starał się nie myśleć o tem, a jednak smutne myśli pchały mu się natrętnie do głowy i męczyły go.

Stary Leszczyc idąc obok syna domyślał się powodu jego zamyślenia i ponurego milczenia, bo i jego słowa aptekarza rozstroiły i skwasiły mu humor. Gniewał się sam na siebie, że zaprowadził syna do niego, martwił się, że Jan wziął tak do serca gadaninę jego i aby wybić mu to z głowy odezwał się po jakimś czasie.

— A cóż, prawda, straszny dziwak z tego aptekarza? Nie głupi człowiek, ale strasznie czarno patrzy na świat. Gdyby tak wszyscy myśleli, tak wątpili we wszystko, to nie wiem, coby się ze światem stało. Człowiek nie powinien wyrzekać się dobrowolnie pragnień swoich, składać broń przed czasem. Trzeba chcieć wiele, aby osiągnąć coś. W walce z życiem, z przeciwnościami wyrabia się człowiek.

— A jednak ty ojcze, także dobrowolnie ustąpiłeś z tego pola walki. Człowiek z takiemi zdolnościami administracyjnemi jak ty, z nauką, mógłby przecież był znaleść nie złą pozycyą w świecie, a tymczasem nie tylko nie starałeś się, ale unikałeś tego. Pamiętasz, jak książę w którego dobrach zajmowałeś skromną posadę rachmistrza, poznawszy się na tobie, ofiarował ci miejsce sekretarza przy sobie, chciał cię zabrać do Lwowa? Odmówiłeś wtedy, tłumacząc się, że nie podołałbyś tak wielkiemu zadaniu. Usunąłeś się całkiem z tamtych stron i przeniosłeś się tutaj.

Staruszek zmięszał się tem przypomnieniem i zaczął się tłumaczyć.

— To było co innego, księciu po prostu zachciało się, była to fantazya pańska. Wiesz dobrze, iż był dziwak, mogła mu potem przyjść znowu fantazya oddalić mnie o byle co, i zostałbym bez utrzymania na bruku. Od wielkich panów jak od ognia, bo z bliska sparzyć się można.

— Dla czego jednak nie starałeś się o posadę przy jakiej instytucyi publicznej, przy banku. Twoje zdolności właśnie odpowiadają takiemu zajęciu.

— Bo... bo widzisz, lubię spokój, ciche życie. Zresztą matka życzyła sobie tego. Ona nie lubi wielkiego miasta. My nie mamy du-

żych potrzeb, przestajemy na małem i czujemy się zadowolnieni.

Tłómaczenie takie nie przekonało całkiem Jana. Była w niem pewna niejasność, ojciec wikłał się w odpowiedzi i Jan domyślał się, że nie mówił mu całej prawdy. Być może, iż staruszek nie śmiał się przyznać szczerze w obec syna, że i on w mizantropijnem usposobieniu postąpił sobie jak aptekarz, dał za wygrane światu i usunął się na bok. Utwierdziło go w tem mniemaniu i to, że ojciec tak niechętnie mówił o tem, co się tyczyło przeszłości jego. Ile razy Jan rozpoczął rozmowę o Lwowie, gdzie, jak wiedział, rodzice jego dłuższy czas przebywali, to i ojciec i matka dawali mu nie jasne ogólnikowe odpowiedzi, i skręcali rozmowę na inny przedmiot. Nie mógł wątpić, że jakiś boleśny zawód lub dotkliwe przykrości spotkały tam rodziców, gdy tak niechętnie wspominają te czasy. Być może, iż to skłoniło ich do usunięcia się w ten cichy zakąt, gdzie uspokoili się trochę, zapomnieli, przeboleli i zaczęli kosztować szczęścia. Nie śmiał więc pytaniami drażnić zabliźnionej rany, i nie badał ojca dalej w tym względzie ani rozpoczynał już tego wieczora rozmowy o aptekarzu.

Ale za to potem, kiedy poszedł do swego pokoju, poważne, smutne myśli o przyszłości poczęły go znowu niepokoić. Niepokój był tem większy, że teraz właśnie znajdował się na rozdrożu i nie wiedział, w którą stronę los go rzuci. Stał przed zamkniętemi wrotami przyszłości swojej i czekał nie wiedząc jaką pójdzie drogą. Przed wyjazdem z Wiednia porozpisywał listy na różne strony zapytując się ludzi znających lepiej od niego stosunki ekonomiczne Galicyi, czego się jąć, jakiej gałęzi przemysłu mógłby najkorzystniej poświęcić się jako chemik. Wahał się, czy obrać drogę praktyczną, czy starać się o profesurę. Bankier Naderman, w którego domu bywał częstym gościem, wspominał mu nieraz, że ma zamiar w dobrach swoich w Galicyi, urządzić rafineryą nafty a zarazem fabrykę wszelkich produktów, jakie z niej otrzymać można, i dawał mu do poznania, że radby jemu oddać kierownictwo tego pomysłu. Jan w tym celu nawet robił już specyalne studya, zwiedził parę podobnych fabryk. Ale przez nagły wyjazd z Wiednia z powodów sercowych zerwał całkiem stosunki z domem bankiera i ze względu na Julię nie wypadało mu odzywać się teraz, dopóki Leon nie odpisze mu na list jego. A odpowiedź nie nadchodziła. Wszystkie więc plany jego zostały w zawieszeniu i ta niepewność, spotęgowała dzisiaj pessymistycznemi poglądami aptekarza, męczyła go. Ciasno i duszno było mu w pokoju; wstał i wyszedł na dwór. Potrzebował powietrza, przestrzeni, aby myślom dać swobodniejszy polot. Noc była ciemna ale ciepła, nawet parna, zanosiło się na burzę; zdala dolatywały już pomruki grzmotów. Był to jakby obraz jego duszy w obecnej chwili. I w niej było burzliwie i ciemno. W chwilach takich rodzi się w człowieku jakaś nieprzeparta chęć do walki z żywiołami; zdaje mu się wtedy, że pokonywując zewnętrzne przeszkody wzmacnia niejako siły swoje do zwyciężenia tego, co w nim się burzy i wichrzy. To też Jan wyszedłszy za bramę klasztorną szedł coraz dalej przyspieszając kroku. Chłodny, wilgotny wiatr, który powiał od strony gór, orzeźwił go i wzruszał jeszcze więcej. Idąc przeciw pędowi jego, brnąc w coraz większe ciemności, doznawał wrażenia, jakby płynął wśród niezmierzonej jakiejś otchłani.

Miasteczko już daleko zostało za nim, rozróżniał je wśród ciemności tylko po kilku światełkach, jakie z niektórych domów błyskały jeszcze; przed sobą widział kolorowe latarnie kolei, a dołem słychać było szum spienionej rzeki. Od czasu do czasu błyskawice oślepiającego blasku rozrywały ciemności i pioruny w zygzakach przebiegały, uderzając z hukiem i trzaskiem w ziemię. Wicher, co przedtem szalał, jak wściekły i targał czupryny lasów, teraz przycichnął, jakby z trwogi przed łoskotem piorunów i deszczu ciężkie krople zaczęły padać.

Jan czuł się jakoś swobodniejszy, silniejszy na duchu wśród tej burzliwej nocy; dawno już nie znajdował się tak sam na sam z naturą, żyjąc od lat kilku wśród murów wielkiego miasta; to też teraz rozkoszował się temi silnemi wrażeniami, walka żywiołów rozszalałych rozbudziła w nim pragnienie lotu, duch młody jak orzeł w chmurach szybował wśród ciemności. Szedł ciągle naprzód, jakby go coś pchało, i wcale nie miał ochoty wracać, choć deszcz ulewny oblewał mu twarz.

Ale im dalej szedł, tem droga stawała się cięższą; woda spływająca strumieniami ze wzgórza pruła gliniastą drogę i robiła ją miękką i śliską. Jan grzęznął w błocie i męczył się coraz więcej. Trzeba było spocząć trochę, bo aż gorąco zrobiło się mu z umęczenia. A nigdzie w około nie było żadnej ochrony przed ulewą, żadnej chaty, ani drzewa nawet przy drodze, a do miasta było daleko. Jan przystanął, by odetchnąć trochę i rozglądał się wśród ciemności, namyślając się co robić. Wtem ujrzał przed sobą w pewnej odległości jakieś światełko i ku niemu skierował swe kroki. Podszedłszy bliżej, przekonał się, że światło pochodziło z okna karczmy i nie namyślając się wszedł do wnętrza.

W dużej izbie szynkownej, z której właśnie pochodziło światło, siedziała za szynkfasem stara żydówka zaspana, obok na ławie chłop z twarzą idiotycznie zamyśloną, z oczami cybulastemi, zagapionemi nieruchomo w płomień lampki naftowej, palącej się nad szynkfasem, krajał kozikiem chleb i ser i pakując spore kąsy w usta ruszające się nierównym ruchem jak u przeżuwających zwierząt. Między kolanami trzymał bat, którego koniec sterczał mu nad głową. Po środku zaś izby przechadzał się żywo żyd, nie młody już i trochę szpakowaty; ale w chodzie jego i w czarnych, ruchliwych błyszczących oczach była młodzieńcza jeszcze żywość. Ubrany był w długi surdut szarego koloru, przez który powieszona była torba podróżna, miał wysokie buty, czapkę z daszkiem, zasadzoną nieco na bakier na krętych włosach. Chodząc podrzucał prawe ramię do góry i potrząsał głową. Nerwowe te ruchy stały się widać przyzwyczajeniem jego i powtarzały się częściej w chwilach niecierpliwości lub gwałtownego wzruszenia.

Na skrzypnięcie otwieranych przez Jana drzwi, żyd coprędzej zwrócił się w tamtą stronę i miał już jakieś pytanie na ustach; ale ujrzawszy obcego człowieka wstrzymał się i nawet zmięszał trochę. Zmierzył przybyłego podejrzliwie, badawczo, szybkiem spojrzeniem a potem przybrawszy minę obojętną przechadzał się dalej po izbie.

Jan wszedłszy wstrząsnął z kapelusza strugę deszczu, co mu się zebrała na okapie, kazał sobie podać kieliszek wódki i usiadł czekając aż ulewa ustanie. Żyd widocznie niekontent był z jego obecności, bo widząc go siadającego skrzywił się i ramieniem podrzucił do góry. Parę razy wychodził za drzwi niespokojny, to znowu wracał, bo niepodobna mu było stać na deszczu.

Nikt nie przerywał milczenia w izbie; żydówka nalawszy Janowi wódki przycupnęła znowu za szynkfasem i drzemała, chłop w milczeniu przeżuwał resztki chleba, żyd chodził po pokoju a za nim skakał po podłodze i ścianach połamany cień jego; Jan zaś usiadł pod oknem to wpatrując się w ciemności, które od czasu do czasu błyskawica rozjaśniała, to obserwował chodzącego żyda, którego ta milcząca obserwacya niepokoiła. Kiedy żyd wyszedł znowu na pole i za chwilę wrócił do izby, Jan zagadnął go:

— A cóż? leje jeszcze?

— Czy to pan nie słyszy? — odmruknął żyd opryskliwie.

— Pan też przed deszczem się schronił?

— Tak.

— A z daleka droga?

— Ztąd nie widać — odrzekł drwiąco i uśmiechnął się dla złagodzenia tej niegrzecznej odpowiedzi.

Jan pomimo to chciał znowu o coś zapytać się, gdy drzwi się prędko otwarły i do izby wszedł zmoczony jakiś człowiek w węgierskiem ubraniu. Jan poznał w nim odrazu owego rudego, od którego napaści obronił był przed kilkoma dniami żydóweczkę w ogrodzie. Przybyły jednak nie spostrzegł go, bo siedział w cieniu pod oknem, zbliżył się do żyda i rzekł mu półgłosem:

— Schon.

Dopiero kiedy ów szpakowaty żyd dał mu jakiś znak oczami, aby milczał — obejrzał się w koło i wtedy dopiero spostrzegł siedzącego pod oknem.

Czy go poznał, trudno było wymiarkować z jego twarzy, która w tej chwili przybrała wyraz obojętny i spokojny. Poszedł do lampy zapalić cygaro a potem wraz z starym żydem począł przechadzać się po izbie. Chodząc rozmawiali ze sobą po żydowsku, i to tak zniżonym głosem, że rozmowa ich wydawała się jak mruczenie. Nareszcie starszy żyd zwrócił się do chłopa siedzącego na ławie i rzekł rezolutnie:

— No, Wojciechu, jedziemy!

Chłop poruszył się, spojrzał w okno, poskrobał się po głowie z miną niezadowolnioną.

— Kiej ano leje jeszcze, i ćma co światu nie widno.

— To wam się tylko ztąd tak zdaje. Deszcz już ustaje. No golnijcie sobie jeszcze półkwaterek wódki, i wio!

Ten argument przekonał chłopa i rozruszał go jakoś. Wychylił wódkę jednym łykiem, splunął, otarł usta rękawem, odsapnął i rzekł:

— Ano, to jedźwa.

— Panowie zapewne ku miastu? — spytał Jan chcąc przysiąść się do jadących, by nie brnąć po błocie z powrotem do domu. Ale starszy żyd prędko mu odrzekł, iż jadą w przeciwną stronę i wyszedł ze swoim to-

warzyszem z izby. Niezadługo dał się słyszeć turkot wózka. Jan, który także wyszedł z karczmy, widział, że wóz właśnie w stronę miasta się potoczył.

Deszcz ustawał trochę, przynajmniej nie lało już; nie miał na co czekać i zabrał się do domu. Z początku szedł drogą, ale że nogi ślizgały się po rozmiękłej glinie, więc zeszedł na pole. Po trawie sporzej mu było iść. Natrafił wreszcie na ścieżkę, która przez łąki, między ogrodami prowadziła do owej ustronnej uliczki ciągnącej się wzdłuż klasztornego muru. Była to droga, jak wiemy, o wiele krótsza; to też Jan w niecałe pół godziny znalazł się pod murem klasztornym. Idąc uliczką dojrzał wśród szarego zmroku (bo już od wschodu bieliło się niebo), że przed furtką prowadzącą do owego ogrodu, w którym mieszkała piękna żydówka, stał wóz i że z niego wynoszono jakąś skrzynię, czy pakę. Kiedy się zbliżył do tego miejsca, furtkę już ktoś zatrzasnął z wewnątrz, a chłop zabierał się do odjazdu. Jan chciał się go o coś spytać i zawołał na niego; ale chłop czy nie słyszał, czy nie chciał odpowiadać zaciął konie i ruszył szybko z miejsca. Za chwilę znikł na zakręcie ulicy. (C. d. n.)

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

(*Ciąg dalszy*).

Panowanie Ludwika XIV. to szczyt władzy monarchicznej. Jeżelibyśmy szukali w dziejach rządu podobnego do rządów Trajana lub Adryana, to musielibyśmy się zatrzymać na Ludwiku XIV. Jedność osiągnięta, ostatni opór znikł wraz z Frondą, resztki swobód municypalnych lub feodalnych zostały zniszczone, parlament oniemiał, wytępiono schyzmę i odszczepieństwo, panujący opiekuje się religią, naukami i literaturą, innemi słowy, sumienie i myśli należą do niego zarówno jak życie i majątek poddanych. Dzieło dokonane, państwo nie ma już żadnych granic; jest to system rzymski za dni jego rozkwitu. Oto co podziwiali nasi ojcowie, w szczególności Voltaire, któryby nie kierował mniemaniem powszechnem, gdyby nie był posiadał zarówno wad, jak i przymiotów francuskiego umysłu. Nazywając wiek imieniem wielkiego króla, zaledwie dostrzega nieznaczne plamki na słońcu tym, tak świetnym przy wschodzie, tak ponurym na schyłku. Voltaire nie spostrzega, że August, Ludwik XIV. i wszyscy monarchowie wznoszący wielkość swoją na ruinach wolności, pozostawiają po sobie pokolenia pozbawione wszelkiej energii. Są to marnotrawcy trwoniący oszczędności swych ojców i zostawiający tylko nędzę w spuściznie swym potomkom.

Wielkość króla pokrywała wady rządu. Bossuet, ten piękny geniusz, pisał z najzupełniejszą szczerością dzieło swe: *Politique tirée de l'Ecriture Sainte*, prawdziwą apologią despotyzmu. Prawda, że w tym zbiorze urywków znajdują się mądre rady dla panujących, lecz są to tylko rady i nic więcej. U Bossueta, biorącego za jedno bezrząd i wolność, poddani nie mają żadnego prawa, nie wyłączając nawet własności, któreby nie było wynikiem zezwolenia władzy, ztąd też nie mogą się oni domagać żadnych rękojmi. Nie dzieli się niczego z książęciem, król, to rzecz święta, Bóg tylko może go karać, jeśli wyrządzi coś złego powierzonej mu przez Niebo ludzkiej trzodzie. Pobożność, bogobojność — oto co się jedynie przeciwstawia władzy nieograniczonej. Nieposłuszeństwo poddanego jest zbrodnią obrazy majestatu ludzkiego i boskiego. Teorya biskupa z Meaux, to niewola uświęcona. Wychodząc z podobnych zasad dochodzi się niechybnie do uznania niewoli za sprawiedliwą i słuszną. Bossuet upadł aż do tego stopnia!

Inaczej się rzecz ma z Fenelonem. W jego zarysach rządu, tylko co przedstawionych w należytem świetle przez p. de Larcy*) spotykamy urojone reformy. Fenelon nie mógł się i tu pozbyć charakteru mentora, lecz znajdujemy u niego poglądy polityczne, przeczucie, że monarchia nieograniczona trwać długo nie może. Fenelon nie zapomniawszy dawnych swobód narodu, nie napada na prawa panującego, lecz podług niego, prawa te powinny być ograniczone przez dawne swobody, przeto domaga się on swobód miast i prowincyi, oraz zebrania Stanów (états généraux). Wreszcie żąda on kościoła niezależnego, sprzymierzonego, ale nie podległego państwu, w czem o wiele przewyższył współczesne sobie poglądy. Gdyby był żył książę Burgundyi, gdyby był zastosował rady swego nauczyciela, kto wie, czyby Francya od początku już XVIII. wieku nie była weszła spokojnie na drogę wolności.

Podczas gdy Ludwik XIV. upajał się potęgą swoją, Anglia miotała się wśród rewolucyi; przewroty te dokonywały się pod panowaniem pojęć, zupełnie różniących się od naszych. Reforma religijna ciągnęła za sobą reformę polityczną, jeszcze raz zmiana religii sprowadziła zmianę państwową. Musimy więc zbadać podwójny ten żywioł, duchowy i polityczny.

Reformacya rozpoczyna nową erę w dziejach wprowadzając do nich na nowo zasadę osobnikowości, i protestując przeciwko władzy nieograniczonej kryjącej się bądź pod tyarą, bądź pod koroną. Wszystko to być może, że Luter nie przeczuwał dokąd go prowadzi jego doktryna, że chciał on poprostu przywieść kościół do pierwotnej jego czystości, że widział on w Biblii księgę boską, która, badana swobodnie, dawałaby wiernym, oświeconym przez Ducha św. odpowiedzi nieomylne i wiecznie te same. Luter nie był ani pierwszym, ani jedynym z tych, których uniosła burza przez nich samych zgotowana. Niemniej wszakże jest pewnym, że mnich wittembergski jednym zamachem obalił zasadę katolicką i monarchiczną. Ostatnią instancyą, która dotychczas należała do kościoła i do państwa, przysądził on jednostce. Dobrowolnie czy nie, złamał on ramy starego społeczeństwa, i Leibnitz mógł doń wypowiedzieć wspaniałą pochwałę:

> Cui genus humanum sperasse recentibus annis
> Debet, et ingenio liberiore frui.

Na dnie reformy spoczywała (czego dostatecznie nie zauważano), stara niepodległość niemiecka. Protestanci wkrótce zaczęli się domagać dla każdego prawa być posłusznym rozkazom własnego sumienia, prawa wybrać sobie wiarę, założyć swój kościół. Ztąd dość było postąpić krok jeden do roztrząsania o posłuszeństwie cywilnem, do wprowadzania do państwa wolności panującej w kościele. Krok ten łatwo przestąpiono. Najlepszym dowodem, że reformacya była przebudzeniem się ducha niemieckiego, jest to, że zjednała sobie tylko ludy plemienia germańskiego lub gotyckiego. Bez przeszkód przyjęła się w krajach skandynawskich, tryumfowała w Anglii, w Holandyi i na północy Niemiec, ale nie udała się w Polsce i u narodów romańskich. Nawet w Niemczech nie przyjęła się wzdłuż Renu i Dunaju, gdzie osady celtyckie zaludnione przez Rzymian stanowiły rdzeń ludności, którą nie trudno jeszcze rozeznać pod przykrywką germańską. Nie doprowadzam bynajmniej do ostateczności znaczenia wpływu plemiennego, nie twierdzę, ażeby krew narodu wyłącznie rozstrzygała o przyjęciu przezeń tej lub innej religii. Toć byli protestanci we Francyi, Włoszech i Hiszpanii, utrzymuję tylko, na świadectwo powołując dzieje, że tam, gdzie protestantyzm trafił na starożytny zarodek giermański, stał się panem dusz i uniósł z sobą wszystko.

Reformacya zaniepokoiła książąt, był to przewrót podobny do tego, jaki chrześciaństwo uczyniło w cesarstwie rzymskiem. Ustrój polityczny, oparty na ścisłem przymierzu kościoła z państwem, upadał podkopany ze wszystkich stron, sumienie i myśl wymykały się z pod władzy panującego. Ci niewolnicy zbuntowani rościli sobie prawo nietylko do wolności, ale i do władzy. Lecz ze strony przeciwnej nie myślano bynajmniej ustąpić przed tym zastraszającym potokiem, usiłowano utopić nowość we krwi męczenników. Prześladowanie wywołało wzburzenie i wojnę. Te wojny domowe, te walki bratobójcze, wycieńczywszy Europę, zakończyły się tym godnym uwagi faktem, że po zażartej walce, oba wyznania bezsilne, by módz zniewolić i obalić jedno drugie, zmuszone były znosić się wzajemnie. We Francyi podobnie jak w Niemczech, musiano znieść, aby mniejszość pozostała przy swej religii, innemi słowy, państwo musiało ustąpić przed sumieniem, siła została zmuszoną do uszanowania prawa. Wolność religijna to dusza nowoczesnych społeczeństw, to zarodek wszystkich innych swobód. Ducha ludzkiego przepołowić nie można. Jeśli jednostka ma prawo wierzyć, ma także prawo myśleć, mówić i działać, poddani nie stanowią już własności panującego, państwo istnieje dla nich, nie zaś dla niego. Przeczuł to Ludwik XIV. i zmysł jego despotyczny nie omylił się tu wcale. Protestantyzm zaprzeczył prawa boskiego panującym, zadał kłam tradycyjnej polityce monarchii. Przygniatając reformatorów, myślano na zawsze zabezpieczyć jedność, lecz po za protestantami trafiono na jansenistów, i przestąpiwszy progi Port-Royal'u ujrzano się wobec filozofów. Myśl była swobodną i żartowała sobie z wielkiego króla.

W Anglii reformacya pod dwiema różnemi pojawiła się postaciami. Dla szlachty i duchowieństwa polegała jedynie na zerwaniu z Rzymem, gdyż kościół ściśle był nadal związany z państwem. Lecz dla mieszczaństwa i narodu w ogóle była ona wyswobodzeniem tak politycznem jak i religijnem, wiarą bowiem narodową był kalwinizm, który zerwawszy z państwem, czynił z każdej gminy wiernych, rzeczpospolitą rządzącą się samą przez się, rzeczpospolitą, w której każdy miał prawo *prorokować*, t. j. mówić

*) Des vicissitudes politiques de la France. Paris, 1860.

o wszystkiem. Prześladowany przez władzę królewską purytanizm zwyciężył z Kromwelem. Wprawdzie zwycięztwo to polityczne krótko trwało, lecz zarodek republikański utkwił w społeczeństwie angielskiem, a przeniesiony do plantacyi nowego świata, wydał na świat Stany Zjednoczone. (C. d. n.)

TRZY BITWY I ŚMIERĆ WODZA.

(Dokończenie).

III. Bitwa pod Szawlami w 1831 r.

Spojrzyjmy, teraz jak się odbywał atak głównych sił ze strony Telszewskiej rogatki.

Dowódca artyleryi pułkownik Piętka, nie nauczony wileńską bitwą, zamiast ześrodkować ogień w jedno miejsce i przez to przygotować udanie się ataku, rozrzucił sam działa na ogromnej przestrzeni. Zdawało się, że Piętka wziął sobie za zadanie wypróżnić wszystkie jaszczyki: hałasu i gromu było wiele a rezultatów żadnych. Roland posłał batalion 7 liniowego pułku pod dowództwem majora Jaremy do ataku. Batalion mężnie poszedł naprzód, rozpędził wojska zagradzające mu drogę, wziął 400 ludzi w niewolę i zamknął ich w murowanym domie, a następnie ruszył dalej. Roland nie poparł go nowemi siłami, mówiąc, że ma rozkaz od głównodowodzącego nie wprowadzać wiele wojska w bój. Batalion Jaremy doszedł do rynku i rzucił się na kościół, gdzie za kamiennym murem, otaczającym kościół, schowały się rezerwy Moskali. Wkrótce Polakom zabrakło ładunków, lecz na szczęście udało się im wziąć u Moskali jeden jaszczyk. Upał był straszny. Polacy zrzucili płaszcze i mundury i w jednych koszulach bili się na rynku, na murze otaczającym kościół i w domach. Tymczasem Kriuków sprowadził jedną armatę z mitawskiej drogi, potem zebrał, co tylko mógł i poprowadził osobiście na bagnety; w tejże chwili Moskale wzięci w niewolę wyłamali drzwi, chwycili za broń złożoną niedaleko i atakowali Polaków z tyłu. Major Jarema, ciężko ranny wpadł w niewolę, Polacy byli odparci i odstępowali w nieporządku. Ksiądz Łoga zebrał ich w kupę, uszykował i jeszcze raz poprowadził do ataku, lecz pokłuty bagnetami padł na polu bitwy, a batalion cały prawie został zniszczony. Adjutanci słysząc przekleństwa naczelników i żołnierzy rzucili się za miasto dla odszukania Giełguda i Chłapowskiego, żeby wyprosić u nich pomoc nieszczęśliwemu batalionowi rzuconemu na pastwę. Znaleziono nareszcie Giełguda w karecie około Bub'. Jenerał spotkał ich z nieukontentowaniem i według zwyczaju swego odesłał do Chłapowskiego, który objechawszy konno pozycye artyleryi polskiej, zawinąwszy się płaszczem, położył na ziemi.

Chłapowski odpowiedział adjutantom, że to rzecz Giełguda a nie jego, że on się nie miesza do niczego i o niczem słyszeć nie chce, lecz zarazem posłał rozkaz oddziałowi znajdującemu się około Bub', żeby nie ruszał się z miejsca bez rozkazu jego, bo Moskale mogą pojawić się ze strony Rossień, potrzebne więc świeże wojska dla przykrycia rejterady. Oddział Rolanda, widząc ten nieład i bezczynność, zaczął burzyć się i żądał, żeby go prowadzono naprzód. Pułkownik Oborski bez rozkazu Rolanda pchnął drugi batalion 7 pułku do miasta, na poparcie pierwszego, lecz już było zapóźno, bo Kriuków uszykował swe oddziały zagrzane zwycięstwem. Po krótkiem powodzeniu atak został odparty; batalion, przyłączywszy niedobitki oddziału Jaremy ustąpił z miasta. Dowódca moskiewskich wojsk był wszędzie, gdzie groziło niebezpieczeństwo; męstwo jego i przytomność umysłu uratowały słaby oddział jego. Brak wszelkiego związku między oddziałami Polaków, atakujących z zachodu i ze wschodu, dawały mu możność przeprowadzić rezerwy swoje z jednej na drugą stronę miasta i stawić silny opór atakującym.

Wskutek dwóch nieszczęśliwych ataków, porządek i karność w wojsku Rolanda zupełnie znikły. Bez rozkazu, częściami, pod dowództwem kapitanów i poruczników rzucali się Polacy do boju, lecz spotkawszy przeważne siły, prowadzone w porządku i umiejętnie, musieli odstępować, przed nadbiegającemi moskiewskiemi rezerwami. Dembiński wezwał do siebie 26 piechotny pułk, który do tego czasu stał na poniewieżskiej drodze i kazał mu atakować miasto ze strony rogatki wileńskiej. Lecz kartaczowy ogień artyleryi i bagnety nadbiegłych rezerw odjęły ochotę próbować szczęścia na nowo. Straszny upadek ducha zapanował w wojsku. Ogień artyleryi osłabł; mnóstwo zabitych i rannych pokrywało plac boju.

W tej chwili Giełgudowi doniesiono o przybliżeniu Dylinshauzena po rosieńskiej drodze. Ocknął się jenerał i posłał rozkaz Rolandowi żeby natychmiast cofnął się do Kurszan, a Dembińskiemu i Szymanowskiemu kazał przybyć osobiście dla narady, co dalej robić, zostawiając wojska pod dowództwem starszych po sobie oficerów. Pomimo klęski doznanej, wojsko, pojmując, że go nędznie prowadzono i dowiedziawszy się, iż przyszedł rozkaz rejterady przed słabszym w siłach nieprzyjacielem, zaczęło szemrać. Dowódca kaliskiego pułku major Słotwiński, posłał adjutanta swego do Giełguda, prosząc go o jeden batalion piechoty i obiecując mu wziąć Szawle. Zamiast żądanej pomocy przybył adjutant Giełguda z uwiadomieniem, że bitwa przegrana i że nic im nie pozostało, jak złożyć broń przed nieprzyjacielem, lub szukać ratunku w rejteradzie do Prus. Rozgniewany Słotwiński pojechał do Giełguda, żądając ukarania adjutanta, który ośmielił się powiedzieć coś podobnego wobec wojska. Nie otrzymując żadnej odpowiedzi od Giełguda, który go nie słuchał nawet, zrozpaczony major rzekł: „Widząc honor armii splamiony, Litwę straconą i taki ciężki cios zadany sprawie naszej, ośmielam się zapytać generała, co gotujesz dla nas?“ Zamiast odpowiedzi, Giełgud kazał aresztować Słotwińskiego, a potem wsiadł do karety i pojechał do Kurszan.

W bitwie pod Szawlami Giełgud działał zupełnie tak, jakby postąpił największy nieprzyjaciel armii jego. We wszystkich jego rozporządzeniach widać chęć, żeby się bitwa nie powiodła i żeby mieć możność zdemoralizowanych i znużonych żołnierzy poprowadzić do Prus, dokąd mu się dostać chciało. Najbezstronniejszy powie to mimowolnie, widząc jego bezczynność i słysząc o rozporządzeniach jego. Jak naprzykład objaśnić sobie rozkaz, żeby Dembiński i Szymanowski zdawszy dowództwo starszym oficerom po nich, przybyli osobiście dla narady? Wszak można było co chwilę oczekiwać wycieczki energicznego Kriukowa z miasta, co chwilę przybycia Kabłukowa ze strony Radziwiliszek i atakowania z tyłu oddziału tego zdezorganizowanego walką, zmęczonego i zdemoralizowanego nadzwyczajnie! Jak objaśnić, że kazawszy rejterować się do Kurszan, on pierwszy pojechał naprzód, rzuciwszy armię narażoną na wycieczkę garnizonu miejskiego, wtedy gdy mając świeże wojska pod ręką powinien był zająć pozycyą i dać czas wojskom rozbitym i oddziałom Dembińskiego i Szymanowskiego, wykonywającym flankowy marsz, ściągnąć się na linię odwrotu. Jak objaśnić postępowanie jego i Chłapowskiego w ciągu całej bitwy? Trudno przypuścić, żeby nie umieli lub zapomnieli tego, co uczy abecadło sztuki wojskowej, tacy starzy żołnierze jak Giełgud i Chłapowski!

Dembiński nie posłuchał rozkazu przyjechania na naradę do Giełguda, a zebrawszy oddział swój i Szymanowskiego, pociągnął ku północy. W chwili tego marszu, Kriuków kazał batalionowi stojącemu na wileńskiej rogatce, zaatakować Polaków. Ponieważ Dembiński niemiał świeżych sił do powstrzymania nieprzyjaciela, rozkazał więc działom, stojącym na wzgórzu obok drogi, odkryć ogień kartaczowy wzdłuż grobli, po której parli Moskale. Kilka szczęśliwych strzałów zmusiło ich do cofnięcia się. W tej chwili po drodze z Rekiowa pokazały się tłumy uciekających, którzy przynieśli wieść, że cały obóz wojskowy Giełguda wpadł w ręce Moskali.

W dzień gdy zdecydowano atakować Szawle, niechcąc, żeby obóz ścieśniał ruchy armii, Giełgud odesłał go nie do Bub', na linię odwrotu, ale do Rekiowa za oddziałem generała Szymanowskiego. Obóz był ogromny i zawierał około 1000 wozów, bo tu były nie tylko rzeczy konieczne do umundurowania armii, lecz i majątki osób skompromitowanych w powstaniu. Dla przykrycia obozu posłał 26 piechotny pułk, w którym dawne luki dopełniono nowobrańcami i trzy szwadrony kawaleryi. 7 lipca do Cytowian przybył Dillenshausen w kilka godzin po wystąpieniu Giełguda i zabrał niewiadomo po co zostawiony tu dość znaczny magazyn odzieży i końskich przyborów. Zatrzymany zerwanym mostem na Dubissie w Gryżowie, generał mógł wystąpić tylko na drugi dzień, wtedy gdy Polacy atakowali Szawle. Z Cytowian są dwie drogi idące do Szawel: jedna stara, wązka, niedogodna i idąca po błotnistej przestrzeni przez Kewnary, Pokopie i Rekiowo, druga zaś nowa, przez Poszawsze, Podubiś i Bubie, po miejscowości równej i odkrytej. Dowiedziawszy się o zniszczeniu mostów przez Dubissę i Szawszę, nie chcąc tracić czasu, kazał swym wojskom skierować się na Rekiowo za Szymanowskim i tu niedaleko od Rekiowa przy wsi Kordzunie napadł na obóz polski. Do ataku posłał kozaków, trzy szwadrony ułańskiego pułku i 2 działa pod dowództwem pułkownika Lachmana. Ogień artyleryi rozpędził nowobrańców, stare wojsko sformowało czworobok lecz nie długo mogło się trzymać obsypywane kartaczami, pierzchło w lasy, 250 dostało się w niewolę i tylko część 26 pułku przerżnęła się przez lasy, pod dowództwem panny Emilii Plater i przyłączyła się do oddziału Szymanowskiego. Z obozem tym wpadły w ręce Moskali i prochowe jaszczyki, tylko park artyleryi i kilka furgonów będących na przedzie zdołały uciec po drodze do Szawel, nie ścigane przez kozaków, którzy zajęli się grabieżą i dzieleniem zdobyczy. Uszczęśliwiony z tego wypadku zamiast rzucić się za uciekającymi i zniszczyć oddziały Dembińskiego i Szymanowskiego, Dillenshauzen kazał oddziałowi swemu zatrzymać się w Rekiowie na nocleg.

Otrzymawszy wiadomość o tem, Dembiński przyspieszył marsz swój flankowy, oddawszy do-

wództwo aryergardy Janowiczowi. W tej chwili przybył Szymanowski, który długi czas brnąc przez błoto, błądził około jeziora, żeby dostać się do głównej kwatery, lecz spotkawszy się z ucie kającymi, wrócił nazad do swego oddziału. Tu za zgodą obopólną zniszczono wiele niepotrzebnych wozów, a konie pociągowe oddano do oddziału Dembińskiego dla wzmocnienia jadącej piechoty jego, która w ten dzień urosła do liczby 130.

Pułkownik Kriuków nie mając kawaleryi, nie mógł ścigać Polaków i pożegnał ich tylko ogniem artyleryi, dopóki mógł ich dosięgnąć.

W ten sposób około 2giej godz. po południu skończyła się ta dziesięciogodzinna bitwa, w której Polacy stracili 2000 w zabitych, rannych i wziętych do niewoli, a Moskale tylko 500. O ósmej wieczorem wszystkie wojska Gielguda zebrały się pod Kurszanami.

Dr. J. Stella-Sawicki.

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka Wenecka.

(*Ciąg dalszy.*)

Nigdzie po za Wenecyą nie znajdziesz w budownictwie takiego kolorytu. Rizzio stworzył w pałacu Dożów prawdziwe arcydzieło. Pałace florentyńskie imponują ponurą hardością linii; a pałac wenecki, fantastyczny i niepoprawny, ćmi przepychem świateł, cieniów i perspektywicznych kontrastów.

Zasługą Florencyi to, że pierwsza na zachodzie umiała stawiać ściśle umiejętne budowy; Wenecya podjęła sztukę toskańską w chwili, gdy do najwyższej doszła doskonałości i wytworzyła architekturę pełnego i późnego odrodzenia; ona to wreszcie wydała styl *Barocco.*

Podobnie jak Palazzo Pitti otwiera epokę wczesnego odrodzenia, tak biblioteka św. Marka staje u progu odrodzenia pełnego. Jej to odbiciem nietylko weneckie gmachy, ale i tyły pałacu Pitti, i dziedziniec pałacu Farnese w Rzymie, i bez liku innych gmachów rozsianych po całym świecie.

Na początku szesnastego wieku usiłował osiadły w Wenecyi Florentczyk, *Giacobo Sansovino*, bogactwo oświecenia weneckiego z czystością linii florentyńskich połączyć; i stworzył swoją biblioteczkę, wzór pełnego odrodzenia.

Odrodzenie wczesne samo się z gotycyzmu wyrobiło, i obchodziło się prawie bez wspomnień klasycznych. Leonardo wprowadził je do malarstwa, Michał Anioł do rzeźby, a Sansovino do budownictwa. Sansovino jednak tylko we wzorach starorzymskich szukał za natchnieniem, a pominął wzory greckie, choć ich wcale nie brak na ziemi włoskiej.

Biblioteczka jest gmachem o jednem piątrze, i przybudowano ją plecami do innego gmachu. Front jej ma 21 łuków, boki po 3 łuki, i proporcye całości matematycznie bardzo piękne. Cały gmach z marmuru białego jaśnieje w słońcu przerywany wielkiemi cieniami sklepionych okien u góry, a otworów sklepionego portyku u dołu.

Przed każdym filarem portyku dolnego stanęła pełna wypukła półkolumna dorycka, wmurowana do filaru. Dodaje grozy i siły budowie, aześrodkowuje mnogie promienie włoskiego słońca, na gładkiej, wypukłej, nieżłobkowanej marmurowej powierzchni. Nad niemi roztwarto łuki strojne w zdobne gzymsy. Środek łuku przerywa to głowa starca, to głowa lwa. Dwu starców w wypukłorzeźbie legło na obydwu łuku ramionach; po nad nimi dźwigają półkolumny gzymsy, które udają strop czyli fryz, ale jużci nie doryckiej kolumnady, bo tu nie metopy i tryglify widać, jedno jakieś arabeski.

Nad tym fryzem widać drugi podobny, ale oszklony już portyk. Tu głownice kolumn jońskie, głowy niewieście umieszczone u środka łuków, i niewiasty legły nad łukami. Sztachety marmurowe zakrywają dół każdego okna, a półkolumny dźwigają fryz, po którym igrają dzieci powiązane wieńcami kwiatów. Nad niemi stoi znów sztacheta marmurowa, a na niej roją się posągi. Posąg stanął nad każdą kolumną i nad załomem każdego łuku, a obeliski marmurowe zastępują posągi u rogów.

Taki to gmach pełen światła i cieniu jaśnieje wobec nieba i morza weneckiego.

Widzimy tu ornamentykę rzymską i ornamentykę wenecką. Gmach bucha światłem dzięki białemu marmurowi; a przytem drga w pełni życia. Posągi legły na gzymsach i zamieszkały we fryzach. Pilastry stały się jakby ramami wypukłorzeźb. Gdy światło wielkiemi masami spoczywa na filarach, gdy cień jednostajny zapełnia łuki, światło i cień łamią się nieustannie na członkach pięknych starców, niewiast i dzieci. A przytem starce doskonale wtórują grozie doryckiej, niewiasty wdziękowi jońskiemu. Od czasu jak Hellada pogańska budować przestała, nie widziano na gmachu żadnym tak rojnego życia, ujętego w tak prostą harmonią. Tylko wolnych kolumn tu brakło.

Na dole pod portykiem, w bramie biblioteczki stanęły dwa olbrzymy muszkularne, o ściśniętych pięściami, drgających mięśniach i zmarszczonych czołach, które gmach czarowny barami podpierają. To dzieło nieco niespokojne a potężne Sansovina. Cześć Sansovinowi, co tak doskonały ład wprowadził w weneckie bogactwo.

Odtąd na dobre rozgościła się rzeźbiona architektura. Obok biblioteki stoi starodawna dzwonnica Marka. Dzwonnica ta podobna do komina ogromnego, na który by chiński kapelusz nałożono. Do dzwonnicy owej przybudowano lodżyetę z różnobarwnych marmurów, na której wystaje tłum płaskorzeźb. Jest to pudełko nakryte ornamentacyjną skulpturą. Chodziło tu zrazu tylko o barwy i cienie i o cacane szczegóły, misterne i wdzięczne, które każą podziwiać cierpliwość Sansovina, który tę lodżdżyetę własnoręcznie wystrugał.

W czterech nyszach ustawił tu cztery spiżowe posążki. Widać tu Merkurego, Marsa, Wenerę i Minerwę. Żywi oni, wiecznie młodzi i piękni. Ciała ich przypominają starą Helladę, tylko postawy ich jakieś wymuszone. Każdy bóg wie, cò u niego najpiękniejszem i to wystawia na jaw i to pokazuje i to każe podziwiać. Wielkie panie i wielcy panowie rozkosznej Wenecyi uczyli się tego, by tak się ruszać, aby się różnić od motłochu, aby być lżejszymi od niego, gładszymi i gibszymi. I te posągi, to nie bogowie Olimpu, to tacy teatralni wielcy panowie. Sansovino uwiecznił w spiżu afektacye salonowe Wenecyi.

Wprost od kościoła, a pod prostym kątem od biblioteki rozciąga się po za wieżą i lodżdżyettą plac św. Marka. Otoczyły go ze trzech stron budynki marmurowe z portykami u dołu.

Do biblioteki przytykają tak zwane prokuracye nowe. Gmach to wielki wystawiony w stylu późnego już odrodzenia, w stylu słynnego budowniczego Paladyusza. Tu biblioteczka rozwinięta w gmach wielki, długi i choć wyższy od niej na pozór omal że nie niski, w którym świecka architektura Wenecyi doszła już do późniejszych krańców wieku męskiego. Okazała, jak senator jaki, starość oczekuje. Gmach ten wystawiony w ostatnich latach szesnastego wieku urosł na dwa bardzo długie piętra i po nad doryckim dołem i jońskiem pierwszem piątrem ma jeszcze ornamentacyjne, dekoracyjne, okazałe, pompatyczne piątro drugie koryntskie. Wszystkie szczegóły zresztą jak w bibliotece pomyślane i wykonane, a nad koryntckimi łukami widać dzieci zamiast starców i niewiast. Tylko sztachet nie ma po pod ogromnemi oknami, tylko posągów i sztachet nie ma na płaskim dachu. Jest tu mniej życia, mniej ruchu, mniej ładu, ale za to występuje wspaniałość rzymska i powaga zazwyczaj obca wdzięcznym, migotliwym gmachom Wenecyi.

Do prokuracyi przystaje portyk dorycki, *fabrica Nuova*, postawiony przez Napoleona Wielkiego. Groźnym majestatem dziwnie odbija od przeciwległej bazyliki, i od wszystkiego co weneckie. On, wśród tego romantycznego przeważnie otoczenia upomina się głośno o nieprzedawnione prawa klasycznego piękna starej Hellady. O właściwościach tego portyku wypada jednak mówić przy sposobności innej, gdy się francuskiej sztuce przypatrzymy.

Naprzeciw prokuracyi nowych stoją marmurowe prokuracye stare, gmach nic nie znaczący w stylu wczesnego odrodzenia. Przy nich stoi marmurowa kamienica, nad którą wznosi się kwadrat z zegarem, błękitno namalowanem niebem o złotych gwiazdach i złotym posążkiem Maryi. To ratusz, u którego szczytu dwu spiżowych olbrzymów bije godziny, młotem uderzając o dzwon niezmierny. Całość ta pochodzi z czasów wczesnego odrodzenia i świadczy o tem, że Wenecyanin tak łaknął barwy, że się dla niej rad wszystkich innych warunków piękna wyrzekał.

Między ratuszem a kościołem stoją dwa dziwaczne a poczwarne lwy kamienne. Przed kościołem św. Marka dźwigają się trzy czerwone maszty włożone do bogato rzezanych świeczników. U wejścia do *piazzetty* widać dwie ciężkie granitowe kolumny. Na jednej powalił św. Teodor smoka, na drugiej rozwiera skrzydła swoje lew świętego Marka. Za kolumnami owemi widać morze.

Cały ten plac z piazzettą, jest dziełem jednem, stawianem przez wieki przez Wenecyą. Czysto tu jak w salonie, wszystko lśni od marmurów, a widać że pani Adryatyku choć w kaprysach swoich raz bizantyński, potem gotycki, a wreszcie rzymski styl przywłaszczała sobie, zostawała zawsze wierną miłości dla światła i barwy. Plac i Piazzetta zakryte posadzką z ciosu i marmuru, a otoczone pałacami. Z Piazzetty widać morze, gmachy wspominają minioną wielkość, a sklepy pod portykami ćmią lśniącem światłem mozaik, korali, brylantów, fotografii i wspaniałych książek.

Gdy wieczorem gaz płonie, gwiazdy jaśnieją na niebie, święty Marek niby ulatuje a muzyka w rytm i takt tysiące widzów związuje, myślisz

że jesteś w bajce, w mieście, o którem ci niańka prawiła. Masz przed sobą złotą cerkiew, pałac koralowy i miasto wystawione na zwierciadle.

Z Piazzetty, powiedziałem, widać morze; a na morzu nie opodal arcydzieło *Palladia: San Giorgio Maggiore.*

San Giorgio Maggiore jest może najszlachetniejszem dziełem późnego odrodzenia. Fasada gmachu pięknie odbija od morza, ale piękność gmachu ma tu swoje źródło w liniach spokojnych. Nie przeszkadza to bynajmniej temu, że to gmach istotnie wenecki — stawiał go bowiem Wenecyanin Palladio, żyje w nim myśl poczęta w Wenecyi przez Sansovina, a sama piękność i prostota linii nie przeszkadza bynajmniej ornamentacyjnemu charakterowi gmachu.

Kościół, o którym mowa, stanął na estradzie, do której schody z morza wiodą. Jest to wielki krzyż łaciński o krótkich ramionach, po nad które wznosi się niewielka kopuła. Cztery sklepione ramiona dźwigają kopułę. Nie ma bocznych naw, nie ma sklepień wewnętrznych. Tylko dwa rzędy sklepionych kaplic stanęły po obydwu bokach dłuższego wchodowego ramienia krzyża.

Prostota tu za daleko posunięta. Jedność wielka gmachu usunęła w bok rozmaitość. Sam plan gmachu nagi i martwy a zimny. Aby tę jednostajność przerwać, musiał się Palladio uciec do nieistotnych ozdób, a te ozdoby dają gmachowi pozór teatralny raczej niż kościelny.

(C. d. n.)

JAKOŚ TO BĘDZIE.

— Fredziu! słyszę spadek — brawo!
Winszuję, a no i sądzę,
Że dziś, doświadczony krwawo,
Zechcesz szanować pieniądze,
Bo kto ich się raz pozbędzie...
— No, no, no, jakoś to będzie.

— Widzę Fredziu, szyk nielada,
Urządziłeś się jak pasza;
Musiałaż cię ta parada
Kosztować, aż mnie przestrasza;
Toż dukacików ubędzie...
— Nie bój się, jakoś to będzie.

— No cóż Fredziu? przez pół roku
Sto tysięcy dyabli wzięli;
Ej! ostrzegam, zwolnij kroku,
Bo jak wpadniesz do topieli,
Nikt cię z niej nie wydobędzie..
— Eh! głupstwo, jakoś to będzie.

— Więc Fredziu, jesteś w kłopocie,
Podobno, że krucho z nami.
Fiu, fiu, fiu i poszły krocie!
I dziś już gonisz resztkami.
Mówią o tem głośno wszędzie..
— Eh! co tam, jakoś to będzie.

— No, teraz Fredziu siedź cicho;
Dostałeś żonę i wioskę,
Pracujże, by cię znów licho
Nie wtrąciło w jaką troskę.
Sumienie przyzwij na sędzię...
— Rozumiem, jakoś to będzie.

— A co Fredziu, moje wróżby?
Zrobiła się piękna chryja;
Żona poszła w świat, do służby,
Ty siedzisz na łasce stryja,
I śpiewasz trele łabędzie..
— Ha! trudno, jakoś to będzie.

— To ty! Alfredzie! Bóg z tobą!
Cóż to ja widzę! łachmany!
Zlitujże się sam nad sobą!
Od samego rana pijany!
Miej wstyd, miej zdrowie na względzie!
— Cha! cha! cha! jakoś to będzie.

M. Rodoć.

MĄŻ ZUZANNY.

NOWELLA

przez

JERZEGO VAUTIER.

I.

Tak jest, to prawda, żenię się. Ukrywałem przed tobą aż dotąd wiadomość, o której ty, najdawniejszy i najlepszy mój przyjaciel, pierwszy powinieneś był wiedzieć; dziś przyznaję się do winy, przebacz mi mój drogi.

Żenię się. W poniedziałek spisujemy akt przed merem. We wtorek błogosławieństwo kościelne, a we środę rano budzę się członkiem wielkiego bractwa. Co za przebudzenie! Będę zmuszony zebrać całą przytomność umysłu, aby uwierzyć, że to rzeczywistość, nie sen łudny tylko. Co do ciebie, z umysłu nie uprzedziłem cię, nie chciałem bowiem, abyś się znajdował na ślubie. Obecność twoja podczas ceremonii rozpoczynających nowe dla mnie życie, wywołałaby nader straszliwe wspomnienia z przeszłością, wspomnienia, które, za jakąbądź cenę postanowiłem wyrugować z mej pamięci. Miałżem dopuścić, abyś ty, jako duch Banca zasiadł wraz z nami do uczty weselnej?

Później nieco, gdy już czuć się będę silnym na mojem nowem stanowisku, gdy bez obawy zdołam spojrzeć oko w oko pokutującym duchom; wtenczas dopiero zawezwę cię, abyś przybył do nas, abyś był świadkiem mojego szczęścia.

Ale prawda! co za nieuwaga! Od kwadransa mówię ci o mojem małżeństwie, a jeszcze nie przedstawiłem ci mojej żony. Zaślubiam pannę Zuzannę de Haintenois. Zdaje mi się, że znasz jej matkę; musiałeś ją spotykać u baronowej. Tam i ja ją poznałem, przeszłej zimy. Pewnego dnia, baronowa, nie opuszczająca żadnej sposobności, aby namówić mnie do małżeństwa, powiedziała mi bez żadnego przygotowania:

— Prześliczne stworzenie z tej panny de Haintenois; takiej właśnie żony panu potrzeba.

Za całą odpowiedź rośmiałem się tylko. Baronowa jednak, jak ci zapewne wiadomo, nader uparta w kwestyach matrymonialnych, tak często wracała do tego przedmiotu, że w końcu zmuszony byłem stanowczo jej oświadczyć, iż nie myślę się żenić.

Nadeszło lato; spakowałem moją walizkę i puściłem się w podróż z Felicyanem. Opowiadano ci różne wypadki z naszej podróży; ale nie wspominam ci zapewne w jakie dziwaczne usposobienie popadł biedny nasz Felicyan; domyślisz się zresztą, o czem chcę mówić, gdyż widywałeś go przed wyjazdem twoim do Afryki, jak na widok dziecka przechodzącego ulicą, wpadał nagle w romansowy zachwyt, albo w głęboką zadumę. Jest to, jak się zdaje, dość upowszechnione między starymi kawalerami; miej się więc na ostrożności, bo z własnego doświadczenia zapewnić cię mogę, że to choroba zaraźliwa. Wyobraź teraz sobie moje położenie, wśród tak długotrwałego sam na sam z Felicyanem, który zmuszał mnie, abym każdego napotkanego dzieciaka nietylko podziwiał, ale i całował nawet.

— Ożeń się — mówiłem mu nieraz — będziesz miał własne dzieci.

— Nie mogę.

— Dlaczego? Jesteś wolny i niezależny. Jako jeden z pierwszych lekarzy paryskich, zajmujesz świetne stanowisko...

— Zbyt oddałem się wyczerpującej pracy— odpowiedział mi — a dziś już zapóźno, minęła stosowna pora! Ach! gdybym był w twoim wieku!

Możnaby powiedzieć, że opatrzność, jakby na przekorę, umyślnie skierowała na naszą drogę wszystkie ślubne wojaże, i wszystkie miodowe miesiące z całego świata. Podczas gdy Felicyan zachwycał się po zajazdach wrzaskiem dzieciaków, ja wystawiony byłem na słuchanie pocałunków rozlegających się z każdego kącika. Gdyby młodzi małżonkowie wiedzieli, jaką podobne rzeczy zazdrość wzbudzają w ludziach bezżennych, możeby przez litość ukrywali przed nimi objawy swej miłości. Krótko mówiąc, skończyło się na tem, że poszedłem śladami mego towarzysza podróży: nie mogłem bez wzruszenia patrzeć na zakochane w sobie małżeńskie pary, przechadzające się ręka w rękę, oko w oko; i ja zacząłem marzyć o własnem zaciszu domowem, o gromadce pucołowatych dzieci, wyciągających ku mnie różowe swe rączki, alboteż robiłem sobie wyrzuty za zmarnowaną przeszłość.

Śmiejesz się ze mnie, prawda? Przyznaję, że podobne wyznanie śmiesznem się może wydawać w moich ustach; ale bądź szczerym. Czy nie czujesz czasami, że nowe pragnienia budzą się w twem sercu? czyś nie stracił wesołego swego sceptycyzmu? Udajesz jeszcze pustaka, ale przyznaj sam, że łatwe miłostki przestały cię już bawić, że owa złota wolność, która w dwudziestym roku życia wydawała nam się największym w świecie skarbem, straciła już w twoich oczach dawny urok, że nieraz westchniesz mimowolnie wracając wieczorem do swego kawalerskiego mieszkania, gdzie nikt na ciebie nie oczekuje, że wreszcie, opuszczając najweselsze towarzystwo, zdarza ci się, iż głosem zniechęconym wołasz z Eklezyastą: „Vanitas vanitatum!“ — To jest kryzys, mój przyjacielu!

W takiem właśnie usposobieniu powróciłem z początkiem zimy do Paryża. Aby pozbyć się melancholii, nabytej w towarzystwie Felicyana, rzuciłem się napowrót w odmęt zabaw, odnowiłem dawne stosunki, miłostki i znajomości; próżne usiłowania; wszędzie towarzyszyły mi zniechęcenie i nuda. Przy pierwszem spotkaniu się z panną de Haintenois, przyszły mi na pamięć słowa baronowej. Co potem zaszło, nie będę ci szczegółowo opisywał. Dość, gdy ci powiem, że trzy miesiące przebyłem jak we śnie, nie myśląc o tem dokąd dążę i nie pojmując co się ze mną dzieje. Przebudziłem się wreszcie pewnego dnia, około godziny czwartej rano. Znalazłem się na moście Zgody, tuląc do ust maleńki bukiecik, nasycony perfumami, jaki pozostał w mem ręku, podczas ostatniego kotyliona. Długą godzinę stałem oparty o poręcz mostu, przypatrując się biegowi wody, jakby wiernemu obrazowi mojej przeszłości, zwolna oddalającej się i niknącej na wieki... Nie śmiej się, przyjacielu; któż z nas, chociaż raz w życiu nie był poetą?...

W południe pobiegłem do baronowej z prośbą o pośrednictwo; tegoż wieczora dowiedziałem się, że prośba moja zostanie przyjętą, i od tej

chwili jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, chociaż żadną miarą nie może mi się pomieścić w głowie, że i ja z kolei mam przejść do obozu mężów.

Udało mi się namówić panią de Hantenois, aby na jakiś czas zaniechała wszelkich wizyt; pięknych historyi byłaby się o mnie nasłuchała! Koniecznie chciała, aby ślub nasz odbył się z wielką okazałością, w kościele św. Magdaleny; na szczęście, jest właścicielką maleńkiego majątku w okolicach Poitiers: skorzystałem z tego i podsunąłem jej myśl, że bardziej będzie po pańsku, gdy małżeństwo nasze zawartem zostanie w własnych jej dobrach. Jutro więc odjeżdżamy do owych dóbr, gdzie połączymy się w obecności naszych wasalów, naszych lenników i niewolników, zacnych dzierżawców, których poczciwe twarze nic mi z przeszłości przypominać nie będą; przed odjazdem jednak trzeba było spisać wczoraj akt cywilny, w obecności dwóchset osób. W tym punkcie nie zdołałem uzyskać najmniejszego ustępstwa. Z uśmiechem na ustach trzeba było wysłuchać wszystkie życzenia i wszystkie objawy nietajonego podziwu. Pomiędzy osobami zaproszonemi, znajdowała się i Joanna; weszła do sali opierając się na ramieniu swego męża, blada bardzo i zmieniona. Gdy się zbliżała ku mnie, dotkliwe wzruszenie zaparło mi oddech w gardle. Och! możesz być zupełnie spokojnym! już jej nie kocham. Ale nie widziałem jej od chwili, w której małżeństwo moje zostało ułożone, a w głębi serca nie czułem się względem niej bez winy.

Ona dotknęła z lekka mojej ręki i rzekła do mnie, spuszczając oczy:

— Winszuję panu, bądź szczęśliwy...

Nie wiem dla czego, ale zadrzałem na te słowa. Miałem minę zbrodniarza; ze wszystkich stron czując wymierzone ku mnie złośliwe i ciekawe spojrzenie, wyszeptałem kilka wyrazów. Mąż jej przerwał mi, uderzając mnie poufale po ramieniu:

— Byłem pewny — mówił wesoło — że i na ciebie przyjdzie kolej, kochany Gastonie; bądź tak szczęśliwym, jak ja nim jestem.

Powiedziawszy to, zaśmiał się głośno i swobodnie; nie miał on nigdy najmniejszego podejrzenia, uważał się za małżonka najszczerzej kochanego ze wszystkich mężów całego świata, i z zupełną naiwnością życzył innym takiego samego szczęścia. — Możesz sobie wyobrazić, jakie to na mnie wrażenie wywarło.

Przed chwilą zadrzałem znowu, gdym na czele twojego listu odczytał nieuniknione *tu quoque*, które ściga mnie na każdym kroku, jakby groźba jaka. Żenię się, módl się za mnie, przyjacielu!

II.

Wymogłem na tobie przyrzeczenie, że cały czas twojego urlopu spędzisz obok mnie, w Sauves. Tymczasem zniewolony zostałem opuścić nagle wieś i osiąść w Paryżu. Miałożby być zapisanem w księgach przeznaczenia, że się już nigdy nie zobaczymy? Jakto! od dwóch lat jestem żonaty, jestem ojcem tęgiego chłopaka, a ty nie znasz jeszcze ani mojej żony, ani mojego syna?

Po powrocie moim z Florencyi, nie napisałem do ciebie ani jednego dłuższego listu; bo też i nie zdołasz wyobrazić sobie ty, bezżenny samolubie, jak mało czasu ma człowiek kochający swą żonę! Nie opowiedziałem ci ani strasznego gniewu pani de Haintenois, gdy się przekonała, że ślubny nasz wojaż, zamiast łaskawie udzielonych nam trzech miesięcy, przeciągał się w rozkosznym zachwycie do nieskończoności; nie opisałem uroczo rozwijającego się przedemną nowego życia — nie wspomniałem ani jednem słowem, o głębokiem wzruszeniu, jakie sprawiła na mnie pierwsza nadzieja ojcowstwa — ani o powrocie naszym w przeddzień ważnego faktu — nie podzieliłem się z tobą prawdziwem zadowoleniem mojem na widok tego zacisza wiejskiego, gdzie zostałem małżonkiem — ani moją radością gdy po raz pierwszy wziąłem na ręce maleńkiego Piotrusia, którego wykrzywianie się w zachwyt mnie wprowadzało, a niezrozumiałe kwilenie anielskiem wydało się pieniem....

Od chwili przyjścia na świat Piotrusia, pani de Haintenois zamieszkuje razem z nami, i na przekór w zeszłą środę pierwszy się raz z nią posprzeczałem. Było to po śniadaniu, siedzieliśmy sami; nagle zagadnęła mnie:

— Spodziewam się, że nie myślicie na całe życie zamknąć się w tej ruderze?

Wyznać muszę, że pytanie to było dla mnie tak niespodziewanem, iż w pierwszej chwili nie wiedziałem co na nie odpowiedzieć.

— Całe życie, nie...

Skorzystała z mego zdumienia, aby odrazu przeprowadzić swoje plany:

— Nieprawdaż — mówiła dalej — że na zimę przeniesiecie się do Paryża?

Ochłonąłem już z pierwszego wrażenia. Żeby się nie dać ubiedz, pospieszyłem z odpowiedzią:

— Oh! nie ma nic pilnego — rzekłem obojętnie — wątpię nawet bardzo, aby Paryż ujrzał mnie w swych murach tej zimy. Albo mi tu źle, przy żonie i przy dziecku?

Świekra moja nie grzeszy zbytkiem cierpliwości; jest to jedna z najmniejszych jej wad. — Lica jej zapłonęły ogniem, co zwykło zwiastować pogotowie wojenne; wymierzyła ku mnie swą lornetkę i ciągnęła dalej:

— Czy pan mówisz na seryo? Postanowiłeś więc zdziczeć zupełnie?

— Tak źle znowu nie będzie; chociaż z drugiej strony muszę przyznać, że życie spokojne w rodzinnem kółku, uśmiecha mi się wielce. Zresztą, nie widzę żadnego powodu, dla którego miałbym się znowu rzucac w odmęt wielkiego świata.

— Owszem, jest i bardzo ważny powód: Zuzanna ma dopiero lat dwadzieścia dwa, a pan nie masz prawa więzić ją w odludnym zakątku.

— Zuzanna ma dosyć zajęcia przy dziecku.

— Otóż to zwykła śpiewka panów mężów! Zdaje się im, że skoro kobieta ma dzieciaka w domu, to już nie potrzebuje myśleć o żadnych rozrywkach.

— Jednakże...

— Zuzanna będzie najlepszą w świecie matką; wychowanie, jakie odemnie otrzymała, jest dla mnie dostateczną pod tym względem rękojmią; ale nie wychowywałam jej na mamkę ani na bonę. Całe dwa lata spędziliście sami ze sobą, we dwoje; tego aż nadto dosyć. — Teraz, obowiązkiem jest męża powrócić żonę światu, i, dla zadowolenia własnych dzikich upodobań, nie pozbawiać jej oczekującego tam na nią powodzenia.

Coś podobnego nigdy mi jeszcze przez myśl nie przeszło.

— Jakiego powodzenia? — zapytałem zdziwiony.

Zaledwie wymówiłem te słowa, spostrzegłem się, ale już za późno, iż brakiem zręczności, prawdziwą sprowadziłem burzę na siebie. Przez szkiełka lornetki zaświeciły pioruny.

— Jakto! jeszcze się pytać o to potrzeba? Doprawdy, słuchając pana, możnaby pomyśleć, że córka moja jest głupia i brzydka. Jakiego powodzenia? rozumie się, takiego, jakiego ma prawo wymagać kobieta młoda, piękna i wykształcona!

— Znam świat i aż nadto wiem dobrze, dokąd prowadzi owo powodzenie, jakiego pani zdajesz się tak gorąco pragnąć dla mojej żony.

— Jeśli zrozumiałam myśl pańską, wyrwałeś się pan z kapitalnem głupstwem. Ani ja, ani moja córka nie należymy do rodziny, w którejby kobiety zapomnieć mogły o swoich obowiązkach!

— Wiem z doświadczenia, że wielki świat pełen jest zasadzek, w które wpadają najuczciwsze i najlepiej strzeżone kobiety.

Mówiłem z wielkiem ożywieniem. Pani de Haintenois skinieniem ręki nakazała mi milczenie. Zuzunna wracała spiewając piosnkę, którą codziennie usypiała dziecko.

— Jedno tylko słowo mam jeszcze do dodania — kończyła pospiesznie pani de Haintenois. — Przy tak bogatem doświadczeniu, nabytem w kawalerskiem życiu, powinieneś pan wiedzieć także, iż nudy bywają najniebezpieczniejszym doradcą kobiety.

Żona moja weszła do pokoju. Zatrzymała się na progu, bacznie się nam przyglądając.

— Jakżeż poważni jesteście oboje! — rzekła po chwili. — O czem rozmawialiście?

— O polityce — odpowiedziała pani de Haintenois, biorąc napowrót dziennik do ręki. — Twój mąż taki jest uparty, że nie chce się dać przekonać.

Nudy! Więc moja żona nudzi się? Słowo to, zręcznie rzucone, wzburzyło mnie całego; przez resztę dnia byłem milczący i zamyślony, ku wielkiemu zdziwieniu Zuzanny, która nie mogła zrozumieć, aby do takiego stopnia można było zajmować się polityką.

Postanowiłem sobie zbadać dokładnie stan rzeczy, i po kilkudniowem najściślejszem śledztwie, musiałem przyznać, że ciche to i samotne życie nie wiele przedstawiało powabu dla młodej kobiety, nie umiejącej jeszcze ocenić prawdziwej wartości spokoju; nabrałem przekonania, że jakkolwiek gorące przywiązanie moje i urocze samą świeżością swoją obowiązki macierzyńskie, stanowią nateraz dostateczną zaporę przeciwko nudom; prędzej czy później jednak, nadejdzie chwila, w której uprzykrzona ta zmora przezwycięży wszystkie stawiane jej przeszkody, a z własnego doświadczenia tyle rozkosznych wspomnień mam do zawdzięczenia nudom, że nie myślę wcale, co dozwala im wstępu do mojego domu. Dziś rano właśnie zapowiedziałem Zuzannie nasz wyjazd do Paryża. Matka jej tryumfuje, a mnie drogi przyjacielu najczarniejsza opanowała melancholia.

Ale spostrzegam się, że zajęty własnymi kłopotami, zapomniałem o tobie. Wiesz, że mam przyobiecane całe trzy tygodnie z twojego urlopu. Wszystko jedno, czy tu będzie czy w Paryżu; skoro tylko się przeniosę, przyślę ci zaraz mój adres. Zechcesz zapewne poprzednio odwiedzić swoją siostrę w Rennes? nie mam nic przeciwko temu, ale stanowczo ci zabraniam być w Paryżu chociażby tylko w przejeździe, a nie zobaczyć mojej żony i mego syna.

III.

W tej chwili powracałem z hotelu; spodziewałem się zastać cię tam jeszcze; ale powiedziano

mi, żeś już opuścił Paryż, nie czekając na pociąg wieczorny. Czyż i tak ci pilno było do Rennes, żeś nie mógł poświęcić mi tych kilku godzin? To prawda, że przyjęcie jakiego doznałeś u nas dziś rano, przykre musiało zrobić na tobie wrażenie; przyjęliśmy cię jak natręta, zamiast powitać z otwartemi rękoma, jak przyjaciela od wielu oczekiwanego miesięcy. A ty nie przeczułeś, że skoro tylko ustąpi moje rozdrażnienie, pobiegnę do ciebie, aby wyjaśnić ci wszystko, przeprosić i z tryumfem poprowadzić cię na przygotowaną dla ciebie uroczystość familijną! Odjechałeś nagle, być może zagniewany na mnie.

Zjawiłeś się u nas wśród sprzeczki domowej. Wszyscy byliśmy powarzeni i rozdrażnieni. Zbłądziłem może, żem ci nie wyznał otwarcie, co zaszło między nami; ale w obecności żony nie mogłem tego uczynić, byłoby to samo co rozpocząć na nowo sprzeczkę, której przybycie twoje położyło koniec. Teraz, opowiem ci wszystko. Wczoraj byliśmy na wieczerze u baronowej; ścierpieć nie mogę tych balów, za którymi tak przepadałem i wściekłość mnie porywa na samą myśl, że pierwszy lepszy fircyk ma prawo w tańcu objąć kibić mojej żony i pożądliwem okiem spoglądać na wygorsowane jej ramiona. Ty, jako kawaler, nie możesz pojąć tego uczucia, jakie mnie ogarnia, i nie mam ci tego wcale za złe; że zaś znieść nie mogę obrzydliwego tego zwyczaju, to właśnie z powodu, że on wam, kawalerom, tak bardzo się podoba i że dawnemi czasy ja sam wielką w nim przyjemność doznawałem.

Tańczono więc; strapiony i zgryziony usunąłem się do niebieskiego saloniku, śledząc z pod oka wirujące pary, wśród których Gontran walcował z Zuzanną: zarozumiała mina jego nie podoba mi się wcale. Ktoś zbliża się do mnie; to mąż Joanny. Rozmawiamy z sobą z zupełną swobodą; gdyż, jak już nieraz wspominałem ci o tem, mam wiele przyjaźni dla niego, a chociażby miało ci się to wydawać śmiesznem, powtarzam raz jeszcze, że tak jest rzeczywiście. Joanna przesuwa się koło nas, unoszona w objęciach ofiara od huzarów, jak niegdyś w moich. Rzuciła okiem na męża, potem spojrzała na mnie prosto w oczy — po raz pierwszy od czasu mojego ożenienia się — a widząc nas obu razem, uśmiéchnęła się znacząco. Mąż jej nie dostrzegł tego uśmiechu, ale ja poruszony byłem do głębi, gdyż doskonale zrozumiałem z jakiem uczuciem zadowolonej zemsty ujrzała mnie w towarzystwie swojego męża i również oczekującego na własną swoją żonę, z którą jakiś Gontran walcował. Nie mogąc utaić oburzenia, odwracam się gwałtownie.

— Co ci jest? — pyta mój towarzysz, nie domyślający się niczego — czyś nie chory?

— Nie; wracam do sali.

— Pójdę i ja z tobą.

Poczciwiec nie widzi, że to jego obecność jest dla mnie męczarnią, że na wesołej twarzy jego odczytuję straszne *Mane, Thekel, Phares*, których znaczenie wytłumaczył mi uśmiech jego żony. Nie koniec na tem; orkiestra zaczyna grać walca Straussa; przypominam sobie, że przy dźwiękach tej samej muzyki ofiarowałem kiedyś moje serce Joannie!...

Zuzanna siedziała w rogu sali; obok niej Gontran, z błyszczącem okiem, z przymileniem na ustach, prawi jakieś niedorzeczności, których ona słucha śmiejąc się. Pewny jestem, że to same bzdurstwa tylko były, ale wiem ja dobrze dokąd one zwykły prowadzić. Przerywam niespodzianie rozmowę, podaję ramię żonie i uprowadzam ją, pozostawiając niegrzecznie pięknego kawalera w połowie niedokończonego komplementu. On tymczasem, zamiast się obrazić, uśmiecha się do mnie; gniew mój bawi go i pochlebia mu. Zdawało się zarozumiałemu, że zrobiłem mu zaszczyt być zazdrośnym o niego! Zuzanna zapytuje mnie z niepokojem:

— Co się stało?

— Nic.

— Widzę wyraźnie, żeś niezadowolony z czegoś. Życzysz sobie, abyśmy już odjechali?

Przyznaję, że bez żadnego namysłu, pochwyciłem nadarzoną sposobność:

— Jedźmy — odpowiedziałem.

— Ale nie powiedziałeś mi jeszcze...

— Później ci powiem, w domu.

Po powrocie do domu, zasiedliśmy wygodnie przed kominkiem. Przez drogę miałem czas zastanowić się, żem niewłaściwie postąpił, to też w niemałym znalazłem się kłopocie, gdy żona zapytała mnie ze zwykłą sobie otwartością:

— Powiedz mi teraz, jaki miałeś powód do tak nagłego opuszczenia balu?

— E, drobnostka, o której nie warto wspominać.

— Masz jakiś sekret przedemną.

— Ależ nie!

— Nie zmyślaj; wiem wszystko. — I pogroziła mi paluszkiem, śmiejąc się: — Rozgniewałeś się, że twój przyjaciel Gontran nadskakiwał mi.

Chciałem zaprzeczać; ale pomięszanie moje wymowniejszem było od słów, niezbyt zręcznie zresztą dobieranych.

— Oh! szkaradny zazdrośniku! — mówiła dalej — wart jesteś, aby cię ukarać za to!

— Proszę cię, nie żartuj!

— Ależ uspokój się, mój drogi, twój Gontran to zarozumiały fanfaron; któżby zwracał uwagę na jego gadaninę!

Uścisnęła mnie czule i tak szczerym wybuchła śmiechem, że zaspokojony zupełnie, zacząłem śmiać się razem z nią, i przepędziliśmy jedną z najprzyjemniejszych chwil w życiu.

Chwilę tę, niestety, drogo przypłaciłem dziś rano. Sam nie wiem dla czego, byłem jakiś niespokojny, rozdrażniony. Zamknięty w swoim gabinecie, w towarzystwie książek tylko i własnych myśli, zapytywałem sam siebie, czy przypadkiem nie popełniłem wielkiej niedorzeczności, zdradzając moje obawy i niejako na wpół otwierając drzwi nieprzyjacielowi. Cóż chcesz, mój drogi? Głowa moja przepełniona jest wspomnieniami z lat ubiegłych, a wspomnienia te co chwila mącą mi mój spokój domowy. Około południa ujrzałem wchodzącą panią de Haintenois.

— Gastonie — rzekła po chwili uroczystego milczenia — dowiaduję się rzeczy, które nakazują mi żądać wyjaśnienia. Wczoraj wieczór odegrałeś wobec Zuzanny rolę Otella....

— Przepraszam panią — przerwałem jej mowę, uzbroiwszy się w odwagę. — Jest to sprawa między mną a moją żoną tylko.

— Jego żoną! Myślałby kto, że Zuzanna wyłączną jest twoją własnością i że ja przestałam być jej matką! Zuzanna, mój panie, jest moją córką i, co najmniej, równe mam z tobą prawo dbać o jej szczęście.

— Zuzanna nie jest nieszczęśliwą.

— Dzięki Bogu, nie zaszliśmy jeszcze tak daleko, ale zazdrość twoja musi do nieszczęścia doprowadzić.

— Zazdrośnym bynajmniej nie jestem; ale z drugiej strony, nie zawsze jestem w usposobieniu znosić cierpliwie, gdy ktoś nadskakuje mojej żonie.

— Z takiem usposobieniem trzeba ci się było ożenić z jakim Kopciuszkiem, przyzwyczajonym do życia za piecem; skoro zaś wolałeś wybrać sobie za żonę kobietę piękną, powinieneś być dumnym z jej sukcesów. Kiedy Zuzanna do mnie jeszcze należała, największą przyjemnością dla mnie było widzieć ją otoczoną wielbicielami.

— Jestem jej mężem, a chciej pani przyznać, że to zmienia cokolwiek postać rzeczy.

— Pochlebnem jest dla męża, gdy żona jego liczne hołdy zbiera w salonach.

— Zapewniam panią, że mi to wcale nie pochlebia.

— Sądzę jednak, żeś nie przypuszczał, iż Zuzanna zostając twoją żoną, utraci swe wdzięki, lub że twoi przyjaciele nie poznają się na nich. Owszem, wypiękniała jeszcze po ślubie, a zamiast dawnych dziesięciu, ma dzisiaj stu wielbicieli...

O śmieszna próżności macierzyńska! Jej szło tylko o tryumfy, i ani pomyślała, że każde jej słowo było nową dla mnie męczarnią. Chciałem wstrzymać ten potok wymowy i rzekłem:

— Powtarzam pani, że szczegóły te są zbyteczne. Zuzanna niewłaściwie postąpiła, wspominając pani o drobnej sprzeczce małżeńskiej, z której na zakończenie, oboje się śmialiśmy.

— Zuzanna bardzo dobrze uczyniła; córka nie powinna nic taić przed matką, a sprawa ta większe ma znaczenie niż pan sobie wyobrażasz. W obecnym wypadku, Zuzanna przez zbytnią swą dobroć, za słabą się pokazała; ale na szczęście ja tu jestem i w przyszłości będę przestrzegać poszanowania jej praw.

— Jakich praw? Wyrażasz się pani tak zagadkowo.

— Wyrażam się tak, jak powinnam; a dziwi mnie tylko, że pan zbyt lekko traktujesz sprawę tak wielkiej wagi. Pan, jeszcze przed ślubem użyłeś i nadużyłeś przyjemności świata, jesteś niemi znużony i znudzony; ale Zuzanna nie znajduje się w podobnem położeniu i nie masz pan żadnej słusznej podstawy zabraniać jej bawić się tak samo, jak pan się bawiłeś.

Zdziwiony i przestraszony zarazem spoglądałem na panią de Haintenois, nie mogąc słowa wymówić; musiała zapewne z twarzy mojej wyczytać ogarniające mnie zdumienie, gdyż podniosła się i rzekła z nietajonym już gniewem:

— W istocie, masz tak dziwny sposób pojmowania rzeczy, że niepodobna z tobą rozmawiać. Możnaby pomyśleć, że nie wiesz do kogo mówisz. Ale mniejsza o to; spełniłam swój obowiązek. Zastanów się, co tobie uczynić wypada.

I odeszła, zostawiając mnie wielce zawstydzonego. Na to ty przybyłeś; wydałem ci się skwaszonym, zakłopotanym. Gdym poszedł uprzedzić Zuzannę o twojej wizycie, zastałem ją przy Piotrusiu, z zapłakanemi oczami; nie trudno mi było odgadnąć przyczynę tych łez: matka wmówiła w nią, że jestem co najmniej drugim Sinobrodym. Nie mogłem ukryć mego niezadowolenia, i zdaje mi się, że gdyby nie wzgląd na ciebie, bylibyśmy się na dobre pokłócili. Teraz rozumiesz już wszystko i przebaczysz nam zapewne? Po twojem odejściu, nastąpiły długie wyjaśnienia, a w rezultacie ich stanowczy pokój. Na małżeńskiem niebie naszem, najmniejsza nie pozostała chmurka; siadam do powozu i spieszę za tobą. Zapóźno! już odjechałeś. Wiesz, że to było bardzo brzydko z twej strony i że nigdy ci tego nie przebaczę! (C. d. n.)

*

Piśmiennictwo polskie.

(Kilka uwag o podstawie i granicach filozofii przez Dra Stefana Pawlickiego. Kraków 1878 r.)

(Ciąg dalszy).

Że ksiądz Pawlicki odstąpił od tego sposobu widzenia rzeczy, za złe mu tego brać nie można. Filozofia nie zna dogmatów i każdemu wolno na miejscu pojęcia, chociażby najbardziej ustalonego i przyjętego powszechnie, stawiać nowe, nawet wręcz mu przeciwne, ale pod warunkiem, że wprowadzoną przez siebie zmianę potrafi usprawiedliwić, wykazać rozumową jej konieczność. Usprawiedliwić zaś będzie mógł ją wtedy dopiero, gdy dowiedzie, że zasada jej jest sprawiedliwa, że bardziej odpowiada wszelkim wymaganiom naukowej ścisłości, jak ta, którą ma zamiar zastąpić. Otóż pod obu tymi względami zaprowadzona przez ks. Pawlickiego zmiana w pojmowaniu i rozgraniczeniu wiedzy pośredniej i bezpośredniej nie wytrzymuje krytyki.

Autor powiada: „Pierwszy akt samowiedzy przyjmuje jestestwo ludzkie za nierozdzielną osobę, za syntezę najściślejszą ducha i ciała, a z tak syntetycznego, osobowego wychodząc stanowiska nazywam bezpośredniem to wszystko, czem ja moje jest, a pośredniem, czem ono nie jest". Wywód ten naraz grzeszy przeciwko logice i przeciwko językowi. Przeciwko logice, albowiem wyprowadza z założenia wniosek, który w niem nie leży; przeciwko językowi, albowiem wyrazom pośredni i bezpośredni nadaje zupełnie inne znaczenie od tego, w jakiem powszechnie bywają używane.

Że pierwszym aktem samowiedzy jest pojmowanie jestestwa ludzkiego za nierozdzielną osobę, przeczyć temu nie myślę; ale żeby w tymże akcie zawierała się jednocześnie możność odróżnienia tego, co jest pośrednie i bezpośrednie — wykryć w żaden sposób nie mogę. Nie mogę nareszcie zrozumieć, dla czego autor za podstawę klasyfikacyi wiedzy, która jest nabytkiem umysłu, znajdującego się w pełni swego rozwoju, przyjmuje pierwszy akt samowiedzy, w którym umysł dopiero się budzi? Z równą słusznością można by wziąć za podstawę klasyfikacyi wiedzy ostatni akt samowiedzy, w którym syntetyczna jedność ludzkiego jestestwa rozkłada się na stronę duchową i cielesną, alboli też pierwszy akt wiedzy, w którym człowiek uznaje się w syntetycznej jedności z otaczającą go przyrodą. Do przyjęcia tego lub innego aktu samowiedzy, czy wiedzy nie zmusza mię żadna logiczna, rozumowa konieczność. Wniosek autora mógłby mieć jeszcze pewne znaczenie, gdyby był sformułowany w sposób następujący: W pierwszym akcie samowiedzy odróżniam moje *ja* od tego, co niem nie jest; ztąd nazywam bezpośredniem to, czem moje ja jest, pośredniem, czem ono nie jest. Wniosek taki zgodny byłby z zasadą logiki i nie narażałby autora na rażącą sprzeczność z sobą, jakiej się dopuszcza na następnej stronnicy, gdzie pragnąc usprawiedliwić użycie przez siebie wyrazów pośredni i bezpośredni w niewłaściwem znaczeniu, wypowiada zdanie: bo co innego moje ja, a co innego zmysły moje. Tym porządkiem opiera autor rozgraniczenie wiedzy bezpośredniej i pośredniej na dwóch sprzecznych sobie zasadach — na syntetycznej jedności ducha i ciała i na odróżnianiu „mego ja od zmysłów moich".

Zaprowadzona więc przez autora zmiana w pojmowaniu dwóch rodzajów wiedzy nie ma żadnej rozumnej konieczności, jest nielogiczną i sprzeczną w sobie. Inaczej być nie mogło. Nie można bowiem opierać klasyfikacyi wiedzy ludzkiej na jakimś pojedyńczym fakcie psychologicznym, dowolnie wybranym z pośród mnóstwa innych; musi się ona opierać na pewnych różnicach, jakie w niejże samej znajdujemy, musi się opierać na odmiennych sposobach, jakimi umysł ludzki do jej nabycia dochodzi. Dla tego nie waham się utrzymywać z całą stanowczością, że pojmowanie wiedzy bezpośredniej, jako takiej, która dla swej oczywistości nie może mieć dowodów, ponieważ sama służy za dowód naszych rozumowań, wiedzy zaś pośredniej, jako takiej, do której się dochodzi drogą rozumowania – jest jedynie prawdziwem, rozumowo koniecznem i ścisłem. Dziwić się tylko potrzeba, że autor o takiem pojmowaniu wiedzy bezpośredniej i pośredniej zdaje się wcale nie wiedzieć. Wspominając bowiem o innych, mniej ważnych, o tem najzupełniej przemilcza.

Dowolność, nielogiczność i sprzeczność, wykryte w zasadzie, na której ksiądz Pawlicki opiera swój sposób widzenia rzeczy, dotykalniej i w jaskrawszych jeszcze barwach występują w szczegółowem przeprowadzeniu rozgraniczenia między wiedzą bezpośrednią i pośrednią. Postrzegamy tu taki zamęt pojęć, taką dowolność w ugrupowaniu pojedyńczych nauk, takie naciąganie rzeczy do powziętej z góry zasady — że trudno czytelnikowi zdać sobie z tego wszystkiego sprawę.

Powiada autor: Bezpośrednio znam byt i czyny moje, oraz wszystko, czemu zaprzeczyć nie mogę, nie chcąc zaprzeczyć mego bytu i działania; pośrednio znam byt i czyny obce, o ile objawiane mi są przez doświadczenie zmysłów lub też słowo ludzkie. Jak na podstawie tych dwóch formułek przeprowadzić podział wszystkich nauk, opierając jedno na pierwszej, a inne na drugiej formule, nie łatwo odgadnąć? Pierwsza szczególniej formuła mówi na raz i za mało i za wiele. Za mało, gdyż jeżeli mam brać w ścisłem znaczeniu wyrazy: bezpośrednio znam byt i czyny moje — to może tu być mowa tylko o samowiedzy, która sama przez się nie może tworzyć żadnej nauki; jeżeli znów zwrócimy uwagę na drugą część formuły, to musimy się zgodzić, że jest ona tak ogólnikowa, tak obszerna, że pod nią wszystko da się podciągnąć, a więc i to, co należy do zakresu wiedzy pośredniej, do poznania czego dochodzę drogą zmysłów. Autor wszakże nie wiele sobie robi z tych trudności, i z całą dowolnością postanawia nieodwołalnym wyrokiem, że na wiedzy bezpośredniej opiera się matematyka i filozofia, jako nauka o bycie, o ile jest bytem, oraz psychologia z logiką; na wiedzy zaś pośredniej opierają się nauki przyrodnicze i historyczne. Czy matematyka mówi co o moim bycie i moich czynach? czy nieznajomość matematyki prowadzi za sobą nieznajomość mego bytu i czynów moich? Czy bez pomocy zmysłów mogę dojść chociażby do najelementarniejszych pojęć z matematyki? Czy psychologia nie wymaga zarówno wewnętrznej obserwacyi i zewnętrznej, pomijając już doświadczenia fizyologiczne, którym psychologia tyle zawdzięcza, co nawet sam autor przyznaje? Czuł zapewne autor niewłaściwość takiego ugrupowania nauk i chcąc się zasłonić przed zarzutami, jakie na niego mogłoby ściągnąć, dopuszcza się nowego gwałtu na logice, postanawiając z trudną do zrozumienia lekkomyślnością, że odtąd wiedza bezpośrednia ma znaczyć to samo, co doświadczenie bezpośrednie, które nie jest czem innem, jak dedukcyą; wiedza zaś pośrednia — to doświadczenie zmysłów, to indukcya. Ponieważ matematyka jest przedewszystkiem umiejętnością dedukcyjną, musi przeto opierać się na wiedzy bezpośredniej; ponieważ psychologia wychodzi z obserwacyi wewnętrznej, którą możnaby od biedy nazwać doświadczeniem bezpośredniem -- więc i psychologia musi należyć do wiedzy bezpośredniej, pomimo, że psychologia jest przedewszystkiem nauką indukcyjną. Że zaszło tu babilońskie pomięszanie pojęć, nie trudno dowieść. Doświadczenie czy to pośrednie, czy bezpośrednie, nie jest czem innem, jak doświadczeniem i nie można go brać za jedno z metodą indukcyi i dedukcyi, które są właściwymi sposobami rozumowania. Tem mniej godzi się brać za jedno doświadczenie i metodę rozumowania z wiedzą, która jest nabytkiem doświadczenia, rezultatem badania i rozumowania, używającego pewnej metody.

Tyle o wiedzy przyrodniczej człowieka, jak ją pojmuje i określa ks. Pawlicki. Przejdźmy teraz do wiedzy nadprzyrodzonej, o której autor wprawdzie mimochodem tylko napotyka, kładąc o niej swe uwagi w przypiskach; ale już dla tego samego, że objawienie boże zaliczył do trzeciego rodzaju wiedzy ludzkiej, musimy zapytać, w jakim stosunku to objawienie zostaje do wiedzy przyrodzonej. Na to pytanie autor nie tylko nie daje nam żadnej odpowiedzi, ale jeszcze bałamuci, utrzymując raz, że objawienie boże należy do bezpośredniej wiedzy, drugi raz, że do pośredniej. A to przecież nie jest rzecz obojętna: bo jeżeli objawienie boże jest wiedzą bezpośrednią w znaczeniu autora, to musi ona podlegać wszystkim regułom dedukcyjnego rozumowania, uznanie swej prawdziwości musi otrzymać od rozumu, który o tyle tylko może je przyjąć, o ile zgadza się z wymaganiami rozumu. Jeżeli przeciwnie będziemy uważać objawienie za wiedzę pośrednią, to musi ona się zgadzać albo z doświadczeniem zmysłów, albo z wiarogodnością słowa ludzkiego. Autor powiada, że wiedza pośrednia nie jest pewna, albowiem zmysły często nas zwodzą, a słowo ludzkie nie rzadko kłamie i oszukuje. Ztąd bezpośredni wniosek, że i objawienie boże, będące wiedzą pośrednią, jest niepewne. Takie to są sprzeczności, w jakie autor się wikła na każdym kroku. Oznaczając stosunek, w jakim zostaje wiedza bezpośrednia do wiedzy pośredniej, powiada: „Metafizyka, brana w sobie, oderwana od szczegółowego bytu, tak samo jak matematyka, nie potrzebuje nauk przyrodzonych do ustalenia prawd swoich. Gdy atoli zważymy na cel jej ostatni, którym jest poznanie bytu, oraz na środki niezbędne do dopięcia celu, rzecz się nieco odmiennie przedstawia." A więc czy metafizyka potrzebuje nauk przyrodniczych, czy nie potrzebuje? Ten sposób odpowiada na pytanie, podobnym jest do rozumowania pewnego zaściankowego polityka, który wśród zaciętej dyskusyi o tem, czy będzie wojna — zawołał: Co tu wiele gadać! Wojna albo będzie, albo nie będzie!...

Rozebrawszy główną myśl autora, stanowiącą rdzeń jego pracy, zastanówmy się po kolei nad niektórymi jej szczegółami.

(C. d. n.)

KRONIKA ODKRYĆ i WYNALAZKÓW.

(Kartaczownice Gatlinga. Wysyłacz Huguesa. Mikrofon.)

Używanie kartaczownic staje się coraz powszechniejszem. Te straszliwe, skombinowane działa wysyłają cały grad kul na nieprzyjaciela, pociski sypią się z przerażającą szybkością, tak, że jedno działo wystarczy za całą kompanię strzelców. Z pomiędzy kartaczownic w ostatnich czasach zbudowanych na szczególną uwagę zasługuje kartaczownica p. Gatlinga, który ją wynalazł jeszcze w r. 1862 i aż do tego czasu wszystkie swe siły poświęcał na jej ulepszenie. Marynarka angielska zaopatruje właśnie swe okręta wysyłane na morze Śródziemne w takie działa. Zadanie kartaczownic na okrętach może być dwojakie. Albo używa się ich do oczyszczania brzegu nieprzyjacielskiego, na który się chce wylądować, albo też do strzelania i zmiatania majtków z nieprzyjaznego statku. W tym ostatnim szczególnie celu, umieszczają się one wyżej, na tak zwanych gniazdach umieszczonych na maszcie. Laweta jest tak urządzoną, że kartaczownica Gatlinga może pod znacznym kątem schylać się na dół i sypać kule z góry na nieprzyjaciela. Ażeby jednak uchronić artylerzystów umieszczonych w tem gnieździe od kul, admiralicya angielska studyuje obecnie sposoby budowania klatek z blachy stalowej, któreby w okrąg masztu były umieszczone i z których przez otwory widać by było tylko wylot kartaczownicy. Zwróciliśmy na te kartaczownice uwagą naszych czytelników, gdyż w kilku zagranicznych pismach illustrowanych i w jednem z naszych znajdujemy rysunki przedstawiające je w czynności.

Wynalazek telefonu pociągnął za sobą cały szereg innych będących z nim w pokrewieństwie. Wielki ten wynalazek, pobudził do życia, jakby iskra elektryczna, odkrywców, i w zaniedbanym dotąd dziale zastosowań elektryczności do przenoszenia dźwięków, posypały się odkrycia jedne po drugich.

Z tych wszystkich największem jest — wynalezienie przez prof. Huguesa *mikrofonu*, który w obecnej chwili zwraca na siebie powszechną uwagę. Prof. Hugues nie jest nowicyuszem w dziedzinie wynalazków. Któż bowiem nie zna jego przyrządu telegraficznego drukującego odrazu czcionkami depesze? Te błękitne litery, odbite na przylepionych do blankietu paskach, pochodzą właśnie z takiego aparatu.

Otóż w ostatnich czasach prof. Hugues zajmował się wiele telefonami i zauważył przy swych próbach jedno ciekawe zjawisko. Jeżeli bowiem przepuszczał przez drut prąd elektryczny pochodzący od bateryi i w obwód tego drutu wstawiał telefon, a potem, w któremkolwiek miejscu zaczął ten drut rozciągać, to na chwilę nim on był rozerwanym, słychać było w telefonie jakiś dźwięk, którego siła potem wzrastała, aż nareszcie znikła zupełnie w chwili stanowczego rozerwania.

Doświadczenie to wykazało dowodnie, że siła prądu biegnącego do telefonu zmieniała się, gdyż, jeśliby było inaczej, to magnes w telefonie nie zmieniałby swojej siły i blaszka nie drgałaby wcale, wydając dźwięki.

Te próby doprowadziły do nowych ważnych, a niespodziewanych rezultatów. Zamiast zwykłego drutu, który Hugues wprzód rozciągał, zaczął rozciągać i ściskać inne ciała, przez które przepuszczał prądy elektryczne. Okazało się, że wielka ilość z nich posiada w mniejszym lub większym stopniu własność zmieniania siły przebiegającego przezeń prądu. Najwybitniejsze pod tym względem są ciała metaliczne sproszkowane. Jednem z pierwszych doświadczeń w tym kierunku było następujące. Prof. Hugues wziął małą rurkę szklanną parę cali długą, napełnił ją proszkiem metalicznym, znanym pod nazwą proszku srebrnego, używanego przez lakierników, a który się składa z mięszaniny cyny i cynku. Oba końce rurki zatkał korkami z dobrych przewodników i wcisnął je tak, że proszek był w stanie ciągłego słabego ciśnienia. Rurkę te wstawił w drut idący od bateryi i prąd przebiegł przez nią, udając się do przyrządu zwanego galwanometrem, a służącego do mierzenia zmiany siły prądu. Otóż jeżeli ściskał proszek w rurce wciskając korki, to galwanometr wykazywał natychmiast zmianę w natężeniu elektryczności. Najsłabsze ściskanie już wykazywało znaczną zmianę. Lecz co najdziwniejsza, skoro wziął rurkę w obie ręce i starał się ją powoli rozciągać, to już to niezmiernie małe rozciągnienie, które wskutek tego powstać mogło, wystarczało do dość silnej zmiany prądu.

Naprowadziło go to odrazu do zbudowania *wysyłacza telefonicznego*. Okazało się, że drgania powietrzne wystarczają do zmiany natężenia prądu i że skoro się mówi do takiej rurki, i puści się prąd zeń wychodzący do telefonu, to ta ostatnia powtórzy najdokładniej wszystko co do rurki mówiono.

Jest to więc najprostsza forma telefonu. Ponieważ zaś natężenia prądu idącego z bateryi, są bez porównania większe od słabych prądów indukcyjnych, wysyłanych ze zwykłego telefonu, więc głos przesłany za pomocą wysyłacza Huguesʼa, słyszy się na drugiej stacyi daleko lepiej.

Lecz najważniejszą częścią nowego odkrycia, jest wykazanie, że najsłabsze dźwięki, jakie się w naturze spotykają, wpływają bardzo silnie na zmianę przewodnictwa w niektórych ciałach, i tę własność użytkował Hugues do zbudowania swego *mikrofonu*, którego zadaniem wzmacniać najsłabsze dźwięki, które są niesłyszalne dla naszego ucha. Słowo *mikrofon* jest złożone na wzór słowa *mikroskop*, i jak ten ostatni służy do zwiększania optycznego przedmiotów, tak pierwszy służy do zwiększania głosu.

Nie ma nic prostszego jak taki mikrofon. Mała laseczka węgla (1 cal długa) napojonego rtęcią, ostro z obu końców zatemperowana, przymocowaną jest między dwoma innymi kawałkami. Wszystko to przyklejonem jest do małej drewnianej deseczki. Prąd od bateryi przebiega wzdłuż tych trzech złączonych z sobą kawałków. Otóż jeżeli teraz w bliskości bezpośredniej od tego aparatu, na deseczce, do której jest przymocowanym, wprowadzimy jakiś szmer najsłabszy, jaki tylko uczynić możemy, to w telefonie, wstawionym w obwód drutu, słyszymy go w znacznem powiększeniu.

Jeżeli delikatnym pędzelkiem będziemy tarli o tę deseczkę, to wprost nic nie usłyszymy, jeżeli jednak przyłożymy ucho do telefonu, to dojdzie nas hałas tak silny, że nawet trudnym będzie do zniesienia.

Podczas prób, które profesor Hugues robił w obecności wielu znakomitych angielskich uczonych, postawiono na deseczce muchę i przykryto ją przewróconem do góry dnem pudełka. W telefonie słychać było wybornie stąpania muchy a jej brzęczenie i uderzanie skrzydłami przenosiły się z zadziwiającem natężeniem.

Każdemu nasuwa się myśl, czytając opis takiego przyrządu, że oddać on może olbrzymie usługi nauce, jak jej oddał niezmiernie wiele mikroskop, otwierając dla ludzkości nowe i nieznane światy istot małych. Widocznem jest, że w nauce fizyologii, nowy ten, a genialny przyrząd grać będzie wielką bardzo rolę.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 30. maja.

Gdy na horyzoncie politycznym chmury rzednąć zaczęły, pokazując z daleka kongres jako figę dowcipu dyplomatycznego, na horyzoncie lwowskim o mało nie przyszło do wojny między dwoma pismami tutejszemi. Nawet pierwsze strzały już padły, nie wiemy tylko czy ślepymi ładunkami, czy też źle trafiały, dość że nikt nie poniósł szwanku i zdaje się kwestya sama przez się na sposób austryacki przycichła. Rzecz poszła o to, że na dochód Harmonii, która, powiedziawszy nawiasem, za często przypomina się dobroczynności publicznej, urządzał się wieczorek muzykalno - deklamacyjno - dramatyczny, w którym główny udział mieli wziąć artyści tutejszego teatru. Najprzód pan Fiszer, który podług zapowiedzi miał być, oświadczył, że nie będzie, bo go nie proszono, dalej pan Zboiński, który także miał być — nie był, bo mu dyrekcya teatru pod zagrożeniem odjęcia płacy nie pozwoliła — inni artyści nie mieli garderoby odpowiedniej do ról odegrać się mających, których również Dyrekcya teatru odmówiła. Jednem słowem dzieło na rzecz Harmonii lwowskiej odbyło się pozbawione wszelkiej harmonii, i gdyby nie p. Władysław Bełza, który przyszedł w pomoc, przepysznie deklamując Tyrteusza Anczyca, cały wieczorek byłby doznał takiego samego losu, jak drugie przedstawienie Wilhelma Tella na scenie tutejszego teatru. Dyrekcya teatru nazwawszy to skandalem artystycznym, powiada że to przedstawienie nie doszło do skutku z powodu braku widzów, a zatem smutnego stanu kasy w godzinę otwarcia. „Dziennik polski" zapewnia znów, że powodem zamknięcia teatru była odmowa wystąpienia panny Tańskiej z przyczyn od Tela niezależnych, a są tacy, którzy utrzymują, że było jedno i drugie w połączeniu z feralnym dniem i nietaktem Dyrekcyi. Na ten temat, ostatni „Szczutek" zamieścił wyborny humorystyczny wierszyk, prawdziwą perełkę dowcipu pod napisem „Treny Saula", który wam radzę odczytać szanowni czytelnicy.

Nie udał się również niedzielny festyn na górze Wysokiego Zamku, festyn z loteryą, illuminacyą, słońcem elektrycznem i innemi przyjemnościami za dwadzieścia centów od osoby. Festyn ten urządziła młodzież akademicka na dochód biblioteki słuchaczów prawa tutejszego uniwersytetu, którym już sam pan Bóg pomięszał szyki, spuszczając po południu obfity deszcz jako ochłodę wszystkich tego rodzaju festynów. Niech mi szanowna młodzież wybaczy, ale cokolwiek za często i dość ostentacyjnie ucieka się ona do ofiarności publicznej ze swojemi potrzebami. Tego rodzaju delikatnej natury wymagania dobremi byłyby, gdyby ktoś inny, a nie sama młodzież, dawał inicyatywę, raz że uniknęłoby się bądź co bądź pewnej żenady, a powtóre przygotowa-

nia do tych uroczystości nie odrywałyby młodzież od nauki, dla której swój czas w uniwersytecie poświęcać winni. Chcielibyśmy w przyszłej generacyi naszej widzieć raczej za wiele ambicyi niż za mało, a występowanie z podobnymi festynami, koncertami, balami, przystoi tylko instytucyom dobroczynnym, dla których składka publiczna jest konieczną kwestyą bytu.

W ogóle publiczność lwowska jest już przeciążona wymaganiami na różne cele filantropijnej natury, i dla tego ofiarność jej mając tyle źródeł odpływu, nie jest w stanie wszystkim jakby wypadało, przyjść z pomocą. Trafia się też bardzo często, że dochód nie pokrywa kosztów urządzenia, a często i stratę przynosi — każda struna jak się ją zanadto wyciągnie, pęknąć musi.

Od czasu spełnionego zamachu na cesarza niemieckiego, który cokolwiek dziwnie się przedstawia dla braku kul z rewolweru wystrzelonych — widmo socyalizmu, spisków, sprzysiężeń itp. facecyi konspiracyjnych — i naszej policyi spać nie daje. Rzeczywiście wygląda to wszystko jako strachy na lachy, publiczność trwoży, a podejrzanym spać nie daje, jeżeli ich o czwartej rano budzi kolekcya komisarzy przystępujących do rewizyi. Dotąd rewizye te nie wykryły nic zdrożnego w papierach, myślach i uczynkach podejrzanych. O mowie nic nie wspominam, tą bowiem wiele się u nas grzeszy więcej z zamiłowania do gadatliwości, aniżeli z potrzeby, więcej dla nadania swej osobie pewnej ważności tajemniczej, aniżeli chęci puszczania się na jakieś konspiracyjne bezdroża.

Tak więc z powodu zapowiedzianego szeregu festynów na dochód „Harmonii“ znowu, i innych stowarzyszeń, wycieczek „Gwiazdy“ itp., życie i ruch lwowski zaczyna przenosić się za miasto. W pierwszym rzędzie miejsc spacerowych, stoi zawsze Wysoki zamek, który od roku do roku staje się najbardziej uczęszczanem i najulubieńszem dla Lwowa. Rzeczywiście gród nasz może być dumnym z posiadania takiego parku, gdzie kilkanaście tysięcy osób, może się swobodnie poruszać, wśród cieniu i zapachu drzew, mając do woli świeżego powietrza i moc przepysznych widoków do kolei. Ztąd różne dolatują nas opinie za i przeciw zamierzanemu otwarciu tego spaceru dla pojazdów. Rada miejska ma uchwalić, aby dwa razy w tydzień wolno było wjeżdżać na główne ulice powozom; opozycya przeciw temu zdaje się powinna ustąpić, raz, że to pozwolenie ma służyć tylko w dwóch dniach tygodnia, a powtóre, że ulice te będą się obficie polewać. W naszem mieście dość mamy osób chorych, dla których pieszy spacer w tych stronach jest niemożebnym, a trudno znów niepozwolić im choć czasem odetchnąć świeżem powietrzem.

Teatr, jakkolwiek nieco awanturniczo, już kończy swój żywot bieżącego sezonu. Znaczna część artystów pod dowództwem p. Terenkoczego powędrowała do Warszawy, z czego bardzo jesteśmy radzi choćby dlatego, że tam wobec konkurencyi tylu teatrów, przywykną do staranniejszej ekspozycyi sztuk, której w ostatnich czasach wiele im niedostawało. Ci z artystów, którzy tu pozostali, nie myślą zupełnie odpoczywać, bo oto już p. Gustaw Fiszer zapowiada na 1go czerwca w sali kasyna mieszczańskiego wieczorek muzykalno-dramatyczny ze współudziałem pani Nowakowskiej. Publiczność jest mocno zaciekawiona tym spektaklem, bo p. Fiszer jest jej ulubieńcem, a odegrać ma komiczny monodram z komedyi hr. Bobrowskiego: „Nie mów hop, aż przeskoczysz.“ Już to przyznać trzeba, że p. Fiszer jest mistrzem w tego rodzaju charakterystycynych scenach, bo ruchliwa fizyognomia jego w jednej chwili potrafi do niepoznania zmienić i naśladować głos, ruchy, postawę coraz innych osób tak, że nikt nie przypuszcza, aby jedna i ta sama twarz mogła być tem wszystkiem.

Kronika bibliograficzna Tygodnia wykaże najświeższy ruch literacki w tych czasach, my tylko możemy wspomnieć o wydawnictwie Biblioteki Mrówki, której 59 i 60 tomiki zawierające Mazepę i Maryę Stuart opuściły prasę. Prawdziwie jest to biblioteka mrówcza, ze względu na niską jej cenę, bo pod względem wartości wewnętrznej zawiera najcenniejsze utwory naszych klassycznych poetów. Znajdziecie tam Brodzińskiego, Goszczyńskiego, Lenartowicza, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i innych, dlatego biblioteka Mrówki, powinna być biblioteką domową każdej familii, której literatura ojczysta nie jest obojętną.

Nakładem księgarni Wł. Bełzy, zapowiedziano wydawnictwo Biblioteki filozoficznej. Będzie to trochę cięższa strawa dla kształcić się pragnącej publiczności i obejmie przekłady dzieł wszystkich tych myślicieli, którzy się przyczynili do odrodzenia myśli i nauk w społeczeństwie. Pomieszczeni mają być przedewszystkiem tacy autorowie, którzy nowe myśli podają, choćby nie byli tak zwanymi filozofami. Kartezyusz i Bakon, Locke i Condillac najprzód tu znajdą pomieszczenie, Montesquieu, Shaftesbury, Addison i inni pójdą za nimi. Obok lekkiej lektury dzieł belletrystycznej treści, czas byłby zająć czemś poważniejszem umysł czytelników naszych, dlatego sądzimy, że Biblioteka filozoficzna znajdzie u nas wielu zwolenników... co daj Boże...

* * *

W Nr. 21 *Ruch literacki* oceniając odczyty Spasowicza zarzuca nam: żeśmy „wołali w jasnym dniu przed ich jeszcze odczytaniem“ iż Spasowicz sięgnął do głębi i niefrazesami walczył itd. Zarzuca nam dalej, że cytując ustępy z odczytu źle sobie postąpiliśmy, bo z cytat nie można mieć dokładnego sądu o całości.

Gdyby Spasowicz był nowym człowiekiem, zapewne, że byłoby rzeczą zdrożną bez odczytania jego prelekcyi wydawać o nich stanowczy sąd, ale Spasowicz znanym jest od lat przeszło dwudziestu, zajmuje stanowisko jedno z najwybitniejszych w Polsce, pisał dużo, oceniając Syrokomlę i o Polu sąd wypowiedział tak, iż rzeczywiście, nie czytając jego odczytu, moglibyśmy byli wydać sąd i sąd najzupełniej sprawiedliwy o tem, co on mógł powiedzieć. Dalej czytając krytyki pism warszawskich widzieliśmy wyraźnie, iż *wszystkie* zarzuty były nieuzasadnione, bo najzupełniej sprzeczne z tem co Spasowicz dotychczas mówił i pisał. Dalej *Ruch lit.* w swojem zacietrzewieniu nie zauważył, że nie cała prasa warszawska występowała przeciw Spasowiczowi i owszem niektóre pisma stanowczo wystąpiły z sądem odmiennym, np. *Nowiny*, gdzie p. Erazm Piltz, naczelny redaktor tego pisma, dał odpowiedź krytykom warszawskim i dowodnie wykazał, że wszystkie zarzuty prasy warszawskiej były *fałszywemi.* A porównywając to, co p. Piltz napisał, z dotychczasową działalnością Spasowicza, widzieliśmy, że Spasowicz nie zmienił swoich przekonań, tylko został źle zrozumianym przez prasę, lub też że ta prasa rozmyślnie sfałszowała jego słowa. Nareszcie wyszły z druku odczyty i każdy mógł się naocznie przekonać, że Spasowicz nie stał się Słowianofilem, tylko pozostał zawsze przeciwnikiem panslawizmu itp. *Kilka słów o tych odczytach zamieściliśmy dopiero po odczytaniu takowych.* Zarzut więc zrobiony nam, jakobyśmy pospieszyli z sądem jest najzupełniej nieuzasadnionym, a tem dziwniejsza iż pochodzi z Redakcyi, która sama zamieściła aż dwa artykuły w Nr. *Ruchu lit.* przed wydrukowaniem odczytu.

Nie myślimy bronić poglądów Spasowicza a zwalczać teorye *Ruchu lit.*, odsyłamy raczej czytelnika do źródła, do odczytów Spasowicza, gdyż wszelka nasza obrona byłaby słabym cieniem w obec potężnej argumentacyi prelegenta. Cały nasz udział w tej sprawie ograniczamy do prostego obowiązku sprawozdawców i prostowania fałszów. Że kilkanaście dzienników wystąpiło w obronie swoich zapleśniałych teoryi zaatakowanych przez Spasowicza, nikogoby to nie dziwiło, i my wyraziliśmy nasze oburzenie tylko na sposób walki. Przeciwnicy postępu bowiem nie wystąpili z krytyką poglądów prelegenta, i nie zamieścili odpowiedzi na jego twierdzenia, ale zaatakowali go potwarzą, włożyli mu w usta słowa, zdania, nie tylko których nie wypowiedział, ale przeciwko którym stanowczo się oświadczył.

Ruch lit. idzie jeszcze dalej, bo podejrzewa nawet że odczyty w druku zmienione zostały, jakowe podejrzenie nie powstało w niczyjej głowie z obecnych na odczycie, dopiero *Ruchowi lit.* zdaje się, że może jakiś wyraz lub zdanie zmienione zostało. To już kwintessencya jezuityzmu.

ODPOWIEDŹ NA ARTYKUŁ p. KL. J.

p. t. „Źródła twórczości literackiej p. Wilczyńskiego.“

Wielką i świętą rzeczą jest sprawiedliwość, ale jak w imię wielu wielkich i świętych rzeczy, tak i w imię sprawiedliwości zbyt często zadają się ciężkie krzywdy. Taką ciężką krzywdę zadał „Kuryer Codzienny“ autorowi „Kłopotów starego Komendanta,“ umieszczając artykuł napisany przez p. Klemensa Junoszę pod tytułem: „Źródła twórczości literackiej pana Wilczyńskiego.“

P. Klemens Junosza odkrył, że pomysł do powiastki „Konkurent panny Anny“ i do jednej sceny w powiastce „Antosia“ wzięty jest z komedyi moskiewskiego komedyopisarza Ostrowskiego, i że niektóre wyrażenia w dyalogu są także ztamtąd wzięte.

Gdyby pan Klemens Junosza po zrobieniu tego odkrycia chciał był doczekać końca obu powieści, drukujących się obecnie w pismach warszawskich, gdyby doczekawszy się ich końca, napisał o nich recenzyą spokojną i poważną, a w tej recenzyi oddzielił to, co jest wyłączną własnością p. Wilczyńskiego od tego, co jest wzięte z komedyi Ostrowskiego, gdyby porównał potem obie pomienione powieści, pod względem literackiej wartości w ogóle, z innymi utworami p. Wilczyńskiego niezaprzeczonej oryginalności i w formie i w pomyśle, i dopiero wtedy wydał sąd o literackiej twórczości p. Wilczyńskiego, gdyby tak zrobił, postąpiłby jak człowiek sumienny, mający prawdę na celu, której w takim razie nie potrzebowałby teatralnych hołdów składać w swoim artykule.

Ale nie, pan Junosza przekonany, że odkrył fakt niesłychanej doniosłości, nie chce czekać dokończenia powieści, każda chwila mu jest drogą, i ze źle utajoną a dziwnie niemiłą radością spieszy obwieścić światu swoje odkrycie, a zachowując pozory objektywności w zdradziecki sposób wyprowadza konkluzye, bo stosuje do całej twórczości literackiej p. Wilczyńskiego to, co się mogło odnosić właśnie do jednej z najsłabszych jego powieści i do jednego ustępu z „Antosi.“ Cóż bowiem znaczy sam tytuł artykułu: „Źródła twórczości literackiej pana Wilczyńskiego“ i cóż znaczy wniosek postawiony po przytoczeniu zbliżonych ustępów w Antosi i w komedyi Ostrowskiego, a postawiony w tych słowach: „Otóż

źródła twórczości pana Wilczyńskiego". Czyż nie chce pan Junosza przez to powiedzieć, że i wszystkie inne powieści i powiastki pana Wilczyńskiego, które tak zachwycały czytelników (czemu sam gromowładny pan Junosza nie może zaprzeczyć) że i te utwory, jak np. Kłopoty starego komendanta, Fotografie społecze, Opiekunowie Wdowca, Siostra mojej żony i inne tchnące najwyższą oryginalnością i swojskością, że i one są przeróbką obcych komedyi lub powieści?

Tak, zaiste, pan Junosza chce to widocznie powiedzieć, sądząc, że czytelnik, olśniony cytatami, uwierzy w zdradziecką konkluzyą jego. Kto jednak występuje w obronie prawdy, nie powinien walczyć fałszem.

Przypatrzmyż się teraz zbrodni zarzuconej panu Wilczyńskiemu przez p. Junoszę. Dziś z oświadczenia p. Wilczyńskiego wiemy to, o czem nie mógł wiedzieć p. Junosza, a mianowicie, że autor „Kłopotów starego komendanta" nie czerpał bezpośrednio z komedyi Ostrowskiego, ale tylko z notat znajomego, ale nawet gdyby nie było tego oświadczenia, gdyby p. Wilczyński istotnie bezpośrednio wziął materyał, w niektórych szczegółach już obrobiony z komedyi Ostrowskiego, to jeszcze i w takim razie zarzut plagiatorstwa, tak namiętnie i z taką złością rzucony autorowi od tak dawna i tak powszechnie cenionemu, a rzucony przez kogoś, o którym świat dotychczas nic nie wiedział, i w takim razie zarzut ten będzie złośliwym, niewczesnym i niezasłużonym pociskiem. Gdyby bowiem każde zużytkowanie i przerobienie cudzego pomysłu miało być plagiatem, to największym plagiatorem, o czem powinien był pamiętać p. Junosza, byłby w takim razie Szekspir, który tyle dramatów cudzych przerobił i dawszy im piętno swego geniuszu, puścił w świat pod swojem imieniem.

Nie, nie każde przerobienie jest plagiatem. Tam, gdzie nieudolność nic sama wysnuć nie zdoła i przywłaszcza sobie owoce cudzego talentu, nic do nich nie dokładając, w niczem ich nie przetwarzając, tam będzie plagiat. Ale gdzie pierwszorzędny talent, który tyle już razy złożył dowody wielkiej oryginalności, z pomiędzy tysiąca obcych pomysłów wybiera jeden, dający się zastosować do naszych stosunków i ubiera go w swojską sukienkę, tam nie ma plagiatu. Sam p. Junosza musiał przyznać, że autor nadał typom pożyczonym od Ostrowskiego i samej powieści polski charakter, a więc włożył coś swego, i włożył właśnie to, co stanowi główną siłę jego talentu, a mianowicie koloryt obyczajowych stosunków polskich.

Lekkomyślne i zjadliwe rzucenie się pana Junosza na autora Kłopotów starego komendanta jest smutnym objawem dzikiego stanu, w jakim się nasza krytyka znajduje. Miałoby ono prócz tego bardzo smutne następstwa, gdyby zniechęciło tak znakomity talent, jak p. Wilczyńskiego, do dalszego pisania. Ale miejmy nadzieję, że pan Wilczyński nie zechce mścić się na całej publiczności polskiej za krzywdę, wyrządzoną mu przez jakąś koteryę, zazdroszczącą sławy i popularności, i że niemiłe wrażenie, spowodowane artykułem pana Junoszy, zatrze się prędko wśród powszechnego uznania dla talentu autora tylu wybornych powieści.

Józef Tretiak.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** J. I. Kraszewski, jak wiadomo, pisywał pod rozmaitymi pseudonimami, gdy wybrane do jubileuszowego wydawnictwa w Warszawie dzieła są wyłącznie z ogłoszonych pod własnem nazwiskiem autora, powstała myśl zrobienia obok powyższego drugie wydanie z dzieł wydawanych pod pseudonimem. Myśli tej nie możemy pochwalić z dwojakiego względu — raz że zamiast przysługi możnaby jubilatowi wyrządzić tem nieprzyjemność a nawet krzywdę, gdyż trzeba przypuścić, że autor używając pseudonimu, musiał mieć ważne do tego powody i nie upoważnił nikogo do odkrywania tajemnicy. Powtóre że projektów uczczenia mamy nie za mało, ale za dużo. Nowy projekt wydawnictwa odciągnąłby znowu kilka tysięcy złr., które zamiast być obrócone na powiększenie funduszu jubileuszowego, zmarnowałyby się na papier i druk książek, które i bez tego są w handlu księgarskim.

*** *Kronika polska* wychodzić zaczęła we Lwowie zamiast wydawanego dotąd „Dwutygodnika polskiego". Spodziewamy się, że redakcya tego pisma będzie ogleędniejszą w przyjmowaniu artykułów do druku, pomna na oburzenie, jakie wywołały dwie korespondencye z Warszawy zamieszczone w ostatnim numerze „Dwutygodnika". Zaciekłość stronnicza musi znaleźć i dla siebie granice, a są rzeczy tak święte, że nie wolno o nich bez uszanowania się odzywać...

*** *Zapadnaja poczta*, dziennik moskiewski, wychodzący od Nowego roku w Warszawie zaprzestał już wychodzić.

*** Do dyrekcyi teatru krakowskiego, jak donosi *Czas*, wstąpi jako współdyrektor od dnia 15. września br. począwszy, znakomity artysta teatrów warszawskich pan Józef Richter.

*** Nakładem Karola Wilda we Lwowie opuścił prasę zeszyt III. *Archiwum Wróblewieckiego*, wydane z rękopismów przez Władysława Tarnowskiego. Zeszyt ten zawiera: Listy pani K. Kossakowskiej. Historya królów elekcyjnych. Manifest generalności barskiej. Historya wyprawy Jana III. pod Wiedeń. Listy Kościuszki, Ignacego Potockiego i Wawrzyńca Engeströma.

*** Dra Sieniawskiego *Biskupstwo warmińskie*, jego założenie i rozwój na ziemi pruskiej z uwzględnieniem dziejów, ludności i stosunków geograficznych ziem dawniej krzyżackich. Praca konkursowa, uwieńczona pierwszą nagrodą przez akademię umiejętności w Krakowie roku 1876. Tom I. i II. Wyszło w Poznaniu nakładem księgarni J. K. Żupańskiego.

*** *Mowa kwiatów*, zabawa towarzyska dla dorosłych, ułożył A. K. Lwów 1878. Nakład F. H. Richtera.

Stowarzyszenia.

*** Towarzystwo politechników polskich w Monachium zawiązane w 1874 roku w celu wzajemnego niesienia sobie pomocy naukowej, i wspierania się nadal jako już ludzi fachowych, na początku ubiegłego półrocza liczyło członków zwyczajnych 13 i honorowych 19, obecnie Towarzystwo liczy członków zwyczajnych 8 (inż. 3, chem. 3, arch. 2) i honorowych 17 (inż. 10, mech. 3, chem. 3, arch. 1). Towarzystwo postanowiło należeć nadal do współwydawnictwa organu młodzieży polskiej kształcącej się za granicami kraju, pod tytułem „Rocznik."

Biblioteka zawiera w sobie ogółem 309 dzieł w 422 tomach, z czego na dział techniczny przypada 105 dzieł w 157 tomach, zaś dzieł spółecznej treści 117 w 172 tomach i 93 broszurki.

Czytelnia (połączona z biblioteką) posiada czasopism 6, jako to: 1) Allgemeine Bauzeitung, 2) Biesiadę Literacką, 3) Dziennik Poznański, 4) Gazetę Polską, 5) Przegląd Techniczny i 6) Tydzień.

Ruch w Bibliotece i czytelni był taki, że członkom Towarzystwa w ciągu półrocza wypożyczono dzieł fachowych 91 tomów, ogólnej treści 105 tomów i czasopism numerów 289.

Stan kasy Towarzystwa jest następujący:

Remanent z letniego półrocza . .	83 m. 34 fen.
Zwkładek członków w ubiegłym półroczu	179 m. 22 fen.
Razem .	262 m. 56 fen.

Z tego na zakupno dzieł fachowych, prenumeratę czasopism i wydatki administracyjne wydano 171 m. 79 fen. A zatem remanentem w kasie na bieżące półrocze letnie pozostało 90 m. 77 fen.

Nekrologia.

† Donoszą, iż w Badenie umarł w dniu 11. bm. Apol. Kurowski, znany z r. 1863 dowódzca oddziału powstańczego, na czele którego walczył z Rosyanami pod Sosnowcami, Opatowem i Miechowem.

† Andrzej Towiański, założyciel sekty mistycznej zwanej mesyanizmem lub towiańszczyzną, będącej mięszaniną chrześciaństwa i metampsychozy, zmarł 13. bm. w Zurychu. Towiański urodził się w r. 1795 na Litwie w powiecie Wiłkomierskim, kształcił się w uniwersytecie wileńskim, był następnie urzędnikiem sądowym w Wilnie i pilnie się oddawał modnemu około roku 1820 magnetyzmowi zwierzęcemu". Naukę swoją począł głosić dopiero po wyjeździe za granicę w roku 1837. Zjednawszy dla niej Adama Mickiewicza i kilku innych ludzi znanych z nauki lub zasług obywatelskich, potrafił nadać jej rozgłos, któregoby w przeciwnym razie nie miała.

ROZMAITOŚCI.

*** Najbogatsza ulica na świecie jest tak zwana Fifth Avenue w Nowym Jorku, nie tyle dla wielkiej liczby wspaniałych gmachów, jak raczej z powodu zamożności swych mieszkańców. Przy ulicy tej bowiem mieszkają następujący Krezusy amerykańscy: dr. Rhinelender, mający 3 miliony dolarów rocznego dochodu, mrs. mrs. M. O. Roberts 5 milionów, Mojżesz Taylor 8 milionów, August Belmont 8 milionów, Robert i August Stuart po 5 milionów, mrs Stevens 2 miliony, Amos R. Eno 5 milionów, Jakób i Wiliam Astor po 30 milionów, mrs. A. Stewart 50 milionów, P. Lorillard 3 miliony, James Kernochan 2, spadkobiercy Vanderbilta 75, Calvert Jones 2, James Gordon Bnnett 4, Fred Stevens 10 milionów, Lewis Lorillard milion, ogółem wymienieni mieszkańcy ulicy Fifth Avenue mają rocznego dochodu 259 milionów dolarów.

*** W Warszawie opowiadają następujące zdarzenie: Pewien znakomity lekarz berliński przybył tam wezwany przez zamożną rodzinę; wieczór poszedł do teatru i aczkolwiek nie rozumiał po polsku, nie mógł się dosyć nacieszyć grą Żółkowskiego. Na drugi dzień przychodzi do niego nieznajomy dla konsultacyi i skarży się, że cierpi na melancholię, lekarz na to: „O tu panie w Warszawie znajdziesz na tę chorobę łatwo lekarstwo, idź tylko do teatru jak Żółkowski grywa, a z pewnością się wyleczysz." „Środka tego niestety użyć nie mogę — odpowiada pacyent — gdyż ja właśnie jestem Żółkowskim."

*** Koszta dwunastu wojen od czasu kampanii krymskiej, nie licząc ostatniej rossyjsko-tureckiej, według obliczenia londyńskiego czasopisma „Ekonomist" wynosiły: w ludziach przez śmierć na polu bitwy lub z ran i chorób 1,948.000 osób; w pieniądzach 48 miliardów 260 milionów marek, co się równa blisko dziesięciokrotnemu dochodowi rocznemu wszystkich państw europejskich wespół z Unią amerykańską.

*** Milioner O'Brien, jeden z najbogatszych przedsiębiorców w Ameryce, umarł niedawno w San Rafael, w Kalifornii. Olbrzymiego majątku dorobił się O'Brien jako poszukiwacz srebra w górach Newady, gdzie był właścicielem miny Consolidate Virginia, jednej z najobfitszych na świecie. O'Brien, rodem z Nowego Yorku, młodym chłopcem bez grosza przyjechał do Kalifornii, a pozostawił przeszło 100 milionów dolarów, które spadły teraz na licznych jego krewnych.

*** Liczba zamachów na życie książąt panujących i ministrów w bieżącym wieku była bardzo znaczną, a kilka z nich zakończyło się krwawą katastrofą. I tak zginął ks. Karol parmezański od sztyletu; zaś książęta Daniło czarnogórski i Miłosz serbski od kuli mordercy. Zamordowany został także jeden z następców tronu, książę de Berry u wejścia do wielkiej opery w Paryżu. Zginęli również z ręki morderczej: pierwszy minister angielski Percival, którego w roku 1871 kupiec Bellingham zastrzelił w przedsionku Izby gmin, i prezydent Unii północno-amerykańskiej, Abraham Lincoln, zastrzelony przez aktora Boota w loży teatru w sam wielki piątek r. 1865. Wicekról Indyj wschodnich, hr. Mayo, zasztyletowany został przez zwyczajnego zbrodniarza, zasądzonego na ciężkie więzienie. Prezydent rządu prowizorycznego, w Hiszpanii, generał Prim, padł od kuli niewyśledzonego dotychczas mordercy. O Turcyi, środkowo amerykańskich rzeczypospolitych i pomniejszych państwach wyspiarskich, nie wspominamy nawet, a tam cały legion książąt, prezydentów, dyktatorów i ministrów zginął z rąk morderców. Najwięcej zamachów, gdyż 6, wykonano w tym wieku na życie króla francuskiego Ludwika Filipa; na życie cesarza Napoleona III. trzy, równie jak na życie cesarza niemieckiego Wilhelma. Z żyjących monarchów europejskich znajdowali się w niebezpieczeństwie życia z powodu zamachów morderczych: królowa Wiktorya, cesarz Franciszek Józef, car Aleksander i były król hiszpański Amadeusz. Do księcia Ernesta Koburgskiego strzelali raz podczas polowania „wolni strzelcy," a do dzisiejszego prezydenta Francyi, marszałka Mac-Mahona, kiedy jeszcze był gubernatorem wojennym

Algieru, pewien sfanatyzowany Arab strzelił z zasadzki.

*** Warszawie ma przybyć nowy silny most na Wiśle. „St. Petersburger Herold“ zapewnia, że budowa mostu na Dunaju pod Zimnicą została zaniechana, ponieważ most okazał się niepotrzebnym. Otóż wykonane już części tego mostu mają być przywiezione do Warszawy i użyte do postawienia tutaj nowego mostu.

*** Na rusztowaniu. Dzienniki amerykańskie podają szczegóły o wykonaniu wyroku śmierci w New-Albany, w Indyanie:

Publiczność zgromadziła się bardzo licznie. Trzech księży weszło na rusztowanie ze skazanym, który, gdy jeden z kapłanów odmówił modlitwę, zaczął spiewać hymny pobożne.

Po ostatniej strofie drugiego hymnu, księża chcieli się oddalić, lecz skazany, nazwiskiem Fontaine, błagał ich, aby jeszcze wysłuchali trzeciej pieśni.

Spiewy te trwały przez pół godziny. Wrażenie było ogromne. Około stu widzów weszło kolejno na rusztowanie, aby uściskiem dłoni i wyrazami współczucia, pożegnać nieszczęśliwego.

Karol Fontaine każdemu z nich opowiadał o swojej wdzięczności dla szeryfa miasta New-Albany, który był zawsze bardzo względny dla więźnia. Spędzone dni w więzieniu skazany uważał za najszczęśliwsze w swem życiu.

Szeryf słuchał pochwał bardzo wzruszony — ponieważ jednak sprawiedliwości musiało stać się zadość, drżącą ręką nacisnął sprężynę, kładąc kres wreszcie tej bolesnej scenie.

BITWA POD SEDANEM.

Wiktora Hugo.

(Dokończenie).

III.

O kwadrans na drugą zrana, w głównej kwaterze w Meuzon, następca trona saski, Albert wprowadził w ruch całą armię Meusy. Gwardya królewska po cichu brała broń, a dwie dywizye podążyły jedna ku Villers-Cernay przez Escambre i Fouru-aux-Bois, druga ku Francheval przez Suchy i Fouru-Saint-Rémy. Za niemi kroczyła artylerya gwardyi.

Jednocześnie dwunasty korpus saski tak samo wielką drogą na południe od Douzy zbliżał się do Lamécourt i kierował ku la Moucelle. Pierwszy korpus bawarski szedł na Bazeilles, wsparty w Reuilly-sur-Meuse przez dywizyą artyleryi czwartego korpusu. Druga dywizya czwartego korpusu przebywała Meusę w Mouzon i skupiła się jako rezerwa w Mairy na prawym brzegu. Trzy te kolumny komunikowały się ze sobą. Przednie straże otrzymały rozkaz nierozpoczynania żadnego ruchu zaczepnego przed godziną piątą i zajęcia po cichu Fouru-aux-Bois, Fouru Saint Rémy i Douai. Rzeczy niepotrzebne pozostawiono z bagażami. Wozy nie ruszały się z miejsca. Następca tronu saski był na koniu na wzgórzach Amblimont.

O tejże samej godzinie w głównej kwaterze w Chémery, Blumenthal kazał dywizyi wirtemberskiej rzucić most przez Meusę. Jedenasty korpus, ruszywszy jeszcze przededniem, przebywał Meusę w Dom-le Mesnil i w Donchery i stanął w Vrigue-sur-Bois. Za nim postępowała artylerya, panując nad gościńcem od Vrigue do Sedanu. Dywizya wirtemberska zajmowała pobudowany przez siebie most i strzegła drogi z Sedanu do Méziéres. O piątej godzinie drugi korpus bawarski z artyleryą na czele, wysłał jedną ze swoich dywizyj przez Bulson do Frénois. Druga dywizya szła przez Noyers i szykowała się przed Sedanem między Frenois i Wadelincourt.

Artylerya rezerwy uszykowała się bateryami na wzgórzach lewego skrzydła, naprzeciw Donchery.

O tej samej porze szósta dywizya kawaleryi ruszyła z Mazeray i przez Boutancourt i Bolzicourt stanęła nad Meuzą w Flize; 2-ga dywizya kawaleryi opuściła swoje leże i zajęła stanowisko na południe od Frenois; 1-szy korpus bawarski rozlokował się w Reuilly, 5-ta dywizya kawaleryi i 6-ty korpus znajdowały się na obserwacyi a wszystkie te siły w szyku i porządku, skupione na wzgórzach oczekiwały świtu. Pruski następca tronu był konno na wzgórzu Frenois.

Podczas gdy się to działo na wszystkich punktach horyzontu, ze wszech stron dokonywały się podobne ruchy. Wysokie pagórki nagle zajęte zostały przez niezliczone czarne wojsko. Ani jeden rozkaz nie został wydany głośno. Dwa kroć piędziesiąt tysięcy ludzi w milczeniu utworzyło koło nad jarem Givonne.

Oto z czego się owo koło składało:

Bawarowie tworzyli prawe skrzydło w Bazeilles nad Meusą; obok Bawarów Saksończycy w Moncelle i w Daigny; nawprost Givonne gwardya królewska; 5-ty korpus w Saint-Menges, 2-gi w Flai gneux; w załomie rzeki między Saint-Menges i Donchery Wirtemberczycy; hrabia Stolberg i jego kawalerya w Donchery; na czele od strony Sedanu druga armia bawarska.

Wszystkie te ruchy odbyły się jakby wykonane przez widma, bez rozkazu, bez tchu, bez żadnego odgłosu, wśród lasów, wąwozów i dolin. Pochód zawiły i złowróżbny. Wydłużanie się płazu.

Z pod gęstwy liścia zaledwie dolatywał szmer. Milcząca bitwa snuła się w ciemnościach wyczekując dnia.

Armia francuska spała.

Nagle zbudziła się.

Zbudziła niewolnicą.

Słońce wstało cudownie od strony Boga, przerażające od strony ludzi.

IV.

Określmy położenie rzeczy.

Niemcy mają za sobą liczbę; jest ich trzech, czterech może przeciw jednemu: przyznają się do dwóch kroć piędziesięciu tysięcy ludzi, rzeczą jednak jest pewną, że ich linia bojowa rozciągała się na trzydzieści kilometrów. Mają za sobą pozycye, zajmują wyniosłości, zapełniają lasy, wszystkie wyskoki gruntu ich zasłaniają, cienie ich ukrywają, mają nieporównaną artyleryą. Armia francuska znajduje się w dole prawie bez artyleryi i amunicyi, odsłonięta na ich ogień. Niemcy mają za sobą zasadzkę — Francuzi tylko heroizm. Umrzeć to pięknie, lecz podejść pożytecznie.

Podejście, oto całe owo dzieło oręża.

Czy podejście godziwem jest na wojnie? Tak. Lecz jeżeli to jest godziwą wojną, to czemże będzie nie godziwą?

To wszystko jedno.

Kiedyśmy to rzekli, opowiedzieliśmy już bitwę pod Sedanem.

Chęć bierze stanąć na tem. Ale nie można. Jakkolwiek wielką by była zgroza dziejopisarza, historya jest obowiązkiem a ten obowiązek domaga się spełnienia. Nie ma pochyłości niebezpieczniejszej nad mówienie prawdy. Kto na nią krokiem stąpi, stoczy się aż do dna. Tak być musi. Kto wymierza sprawiedliwość jest niewolnikiem sprawiedliwości.

Bitwa pod Sedanem jest czemś więcej niż stoczoną walką, jestto dopełnienie syllogizmu, groźny wyrok przeznaczenia. Przeznaczenie nigdy się nie spieszy, ale zawsze przybywa. Gdy godzina nadejdzie zjawia się. Upływają lata, a gdy się o niem najmniej myśli, ukazuje się. Logika boska dopuszcza się w dziejach od czasu do czasu podobnych czynów. Jednym z nich jest Sedan

Tak więc w dniu 1 września o piątej zrana świat ocknął się pod promieniami słońca a armia francuska pod gromem.

V.

Pożar ogarnia Bazeilles — Givonne w ogniu — Floing w ogniu — pożoga to początek owego dnia. Cały horyzont jest jednym płomieniem. W tym kraterze leży obóz francuski, osłupiały, zmięszany, znienacka pochwycony. Krąg gromów otacza armię. Zniszczenie ją opasuje.

Jednocześnie na wszystkich punktach dokonywa się to ogromne zabójstwo. Francuzi stawiają opór, są straszni, bo nie pozostało im nic, krom rozpaczy. Nasze działa prawie wszystkie stare, nie sięgające daleko, wkrótce zostały zdemontowane przez straszne i celne strzały Prusaków. Grad pocisków padający na dolinę jest tak gęsty, że jak powiada naoczny świadek: „poryły one ziemię jak grabiami“. Ile dział? Co najmniej tysiąc sto. Na samym wzgórzu Moncelle dwanaście bateryj niemieckich — na wyniosłościach Givonne 3 i 4 oddziały, straszna artylerya z 2-gą bateryą konną w rezerwie: — nawprost Daigny dziesięć bateryi saskich i dwie wirtembergskie; mur drzew lasu na północ od Villers-Cerney ukrywa oddział artylleryi konnej z trzecią bateryą ciężkiej artyleryi w rezerwie, i z owej posępnej gęstwy sypie się straszny ogień, dwadzieścia cztery działa ciężkiej artyleryi ustawiono w bateryą na polance obok drogi z la Moncelle do Chapelle; baterya gwardyi królewskiej pali lasy Garenny; bomby i pociski zasypują Suchy, Francheval, Fouru-Saint-Rémy i dolinę między Heibes i Givonne a potrójny i poczwórny szereg armat ciągnie się bez przerwy aż do kalwaryi Illy, najdalszego punktu na horyzoncie.

Żołnierze niemieccy, siedzący lub leżący przed bateryami, przypatrują się robocie artylleryi. Żołnierze francuscy padają i umierają. Przy jednym z trupów zalegających dolinę, który był oficerem, po bitwie znaleziony został złożony papier, zawierający rozkaz dzienny z podpisem Napoleon, rozkaz w tych objęty wyrazach: „Dziś dnia 1 września odpoczynek dla całej armii“. Dzielny 35 pułk liniowy ginie prawie cały pod miażdżącemi go pociskami, mężna piechota marynarki trzyma przez chwilę w szachu Saksończyków pomięszanych z Bawarami, lecz naciśnięta ze wszech stron cofa się; prześliczna kawalerya dywizyi Margueritte, rzucona przeciw piechocie niemieckiej, zatrzymuje się, i w połowie drogi pada, wybita, powiada raport pruski „przez spokojny i celny ogień.“ Pole rzezi ma trzy wyjścia, wszystkie trzy zamknięte: drogę do Bouillon przez gwardyę pruską, drogę do Carignan przez Bawarów, drogę do Méziéres przez Wirtemberczyków. Francuzi nie pomyśleli o zabarykadowaniu wiaduktu kolei żelaznej, w nocy postawiono w nim trzy bataliony niemieckie; dwa samotne domy na drodze do Balan mogły posłużyć jako podstawa do długiej obrony, Niemcy już się w nich znajdują; park Montvillieres w Bazeilles rozległy i gęsty, mógł przeszkodzić połączeniu się Saksończyków z la Moncelle z Bawarami w Bazeilles, i tu Niemcy byli pierwsi: Bawarowie toporkami wyrąbują w nim drogi.

Armia niemiecka porusza się jakby jedno ciało, z absolutną jednością, książę saski znajduje się na wzgórzu Mairy, zkąd obejmuje wzrokiem cały plac boju. W armii francuskiej dowództwo chwieje się; w początku bitwy o trzy kwadranse nad szóstą Mac-Mahon ugodzony zostaje odłamkiem granatu; o siódmej jego miejsce zajmuje Ducrot, o dziesiątej na miejscu Ducrota jest znowu Wiempfen. Z każdą chwilą mur ognia się przybliża, łoskot gromu trwa nieustannie — okropne miażdżenie dziewięćdziesięciu tysięcy ludzi.

Nic podobnego nie widziano nigdy, nigdy żadna armia nie zginęła pod podobną lawiną żelaza. O godzinie 1 wszystko już stracone. Pułki w nieładzie chronią się do Sedanu. Ale Sedan zaczyna się palić, Dijonval się pali, ambulanse się palą. Nie pozostaje nic nad przejście na przebój. Wimpfen mężny i nieugięty proponuje je cesarzowi. Trzeci pułk żuawów, rozwścieczony, dał przykład, odcięty od reszty armii utorował sobie drogę i dostał się do Belgii. Ucieczka lwów.

Nagle nad zniszczeniem, po nad olbrzymim stosem umarłych i umierających, nad całym tym nieszczęśliwym heroizmem ukazuje się sromota. Zatknięto biały sztandar.

Byli tam Turenne i Vauban, obecni jeden w swoim posągu, drugi w twierdzy, którą postawił.

Posąg i twierdza patrzyły na tę okropną kapitulacyą. Te dwie dziewice, jedna z bronzu druga z granitu zostały zhańbione. O boskie oblicze ojczyzny! Niewymowna ohydo!

K. F.

Treść Nr. 40.

	str.
Paulin Święcicki i jego niewydane dramata. przez Józefa Tretiaka (Dok.)	49
Za winy niepopełnione. Powieść, przez Michała Bałuckiego (c. d.)	50
Państwo i jego granice, studyum prawno-państwowe, przez Edwarda Laboulaye. Tłómaczył Józef Schiff (c. d.)	54
Trzy bitwy i śmierć wodza przez J. S. S. (Dok.)	55
Studya estetyczne, przez Wojciecha Dzieduszyckiego. (c. d.)	56
Jakoś to będzie. Wiersz przez M. Rodocia	57
Mąż Zuzanny. Nowella przez Jerzego Vautier.	57
Piśmiennictwo polskie przez Wł. Kozłowskiego (c. d.)	60
Kronika odkryć i wynalazków przez B. Abakanowicza	61
Tydzień lwowski	61
Odpowiedź na artykuł Kl. J. przez Józefa Tretiaka.	62
Wiadomości z kraju i ze świata.	63
Rozmaitości.	63
Bitwa pod Sedanem przez *Wiktora Hugo.* (Dok.)	64

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.